

PODRÓŻ NAOKOŁO ŚWIATA
W OŚMDZIESIĄT DNI.

Antoni



Przeskoczył balustradę, oddzielającą scenę
od widzów. (str. 160).

ILUSTROWANA BIBLIOTEKA DLA MŁODZIEŻY.

JULJUSZ VERNE.

PODRÓŻ NAOKOŁO ŚWIATA W OŚMDZIESIĄT DNI.

ZAJMUJĄCA POWIEŚĆ
z ŻYCIA PODRÓŻNIKÓW.

WARSZAWA, WYDAWNICTWO „ARGUS”.

K 448505
138374 T

U-10/428/15



27.05.

1071 ✓

ROZDZIAŁ I.

Przyjęcie przez pana Fogga służącego Passepartout.

W roku 1872, dom noszący nr. 7 przy ulicy Sarillerow, zamieszkały był przez pana Filipa Fogga, osobę bardzo tajemniczą i oryginalną, wzbudzającą ogólną ciekawość.

Pan Filip Fogg odziedziczył majątność po znanym mówcy angielskim, który, jako krewny Fogga zrozumiał, że oddać pieniądze w ręce takiego człowieka, to znaczy, pomnożyć swój dobytek.

Filip Fogg przypominał Byrona. Byłto bardzo przystojny i elegancki człowiek, Anglik do głębi duszy, nie posiadał jednak upodobań Londyńczyków, nie był głośny, i nie chciał być głośnym i znanym.

Nie należał do instytucji, do których zapisywali się wszyscy dla mody i sławy, był tylko członkiem Klubu „Reform“. Oto wszystko.

W jaki sposób człowiek nikomu nieznanemu dostał się do tego klubu?

Otrzymał on wyborną rekomendację od Braci Baring, u których miał kredyt otwarty i to wystarczyło do przyjęcia.

Fogg nie był rozrzutnym, ale też nie był skąpym, gdyż wszędzie, gdy komu brakło chleba, on pomógł najpierwszy i to zwykle w tajemnicy i bez rozgłosu.

Sam był zawsze zamknięty w sobie i milczący. Mówił mało, tyle tylko, ile było potrzeba i uważał zbyteczną paplaninę za brak wychowania.

Życie swoje urządził w ten sposób, że wszystko miało swój czas przeznaczony. Zawsze równomierny, zawsze ten sam, nie okazywał nigdy ani smutku, ani wielkiej radości.

Czy podróżował kiedy? To było prawdopodobnem, gdyż nikt tak doskonale nie znał wszystkich krajów, jak on.

Gdy rozmawiano w klubie o zaginionych podróżnych, Fogg dowodził zawsze, gdzie mogą być bezpieczni i żywi i gdzie mogliby stracić życie, lub też nie przenieść klimatu.

Jednem słowem było znawca geografji niepospolity i umysł wielkiej inteligencji.

Nie wiedziano o nim, skąd przybył, czy tu się urodził, czy miał kogo z rodziny.

Wiedziano tylko, że odkąd zaczął bywać w świecie, tj. w Klubie „Reform“, nie wyjeżdżał nigdy z Londynu.

Poza zwykłemi zajęciami czytał dużo i grał w wista.

Grając, wygrywał często i natychmiast oddawał wygraną sumę biedakom. Grał nie po to, żeby wygrać, ale po to, żeby się rozerwać. Gra była dla niego rodzajem walki, walki o pokonanie trudności, ale toczyła się ona bez uniesień, bez wzruszeń i dla tego nie wpływała wcale na jego charakter i usposobienia.

Samotnik, życie swe spędzał ze swym służącym, który mu najzupełniej wystarczał.

Śniadanie, obiad i kolację jadał zwykle w klubie, do domu wracał aby się przespać i to o godzinie i minucie wyznaczonej.

Jadał zawsze przy tym samym stole, w tej samej sali, nie rozmawiając z nikim, nie zaczepiając obcych.

W domu spędzał dziesięć godzin na robieniu toalety lub na spaniu.

Jeśli się przechadzał, to zawsze jednakiem krokiem, jakby licząc swoje stąpania.

Dom, w którym mieszkał, odznaczał się niezwykle komfortem, tryb życia zaś domu nieznaną nigdzie akuracją.

Od służącego wymagał stawiania się przed sobą o oznaczonej godzinie i minucie.

Tego dnia właśnie, od którego zaczynamy swe opowiadanie, Filip Fogg oddalał swego służącego Jana Forstera za to, że przyniósł mu wodę do mycia się o ciepłocie ośmdziesięciu czterech stopni Fahrenheita, zamiast o ośmdziesięciu sześciu.

Oburzony na tę nieuwagę, zgodził innego służącego, który miał się u niego zjawić między godziną jedenastą, a wpół do dwunastą.

W chwili obecnej pan domu siedział wyprostowany na fotelu z rękami o kolana opartymi i patrzył na wskazówki dużego wiszącego zegara.

O wpół do dwunastej Filip Fogg zwykle wychodził do klubu.

Tymczasem wraz z uderzeniem zegara zapukał ktoś do pokoju i po pozwoleniu wejścia, ukazał się Jan Forster, oznajmując:

— Nowy służący.

Jednocześnie wszedł człowiek lat około trzydziestu i uklonił się.

— Jesteś Francuzem i nazywasz się Janem?

— Tak, proszę pana, — odpowiedział nowoprzybyły. Jan Passepartout, to przydomek, dany mi podczas służby.

Jestem uczciwym chłopcem, ale chcąc być szczerym muszę wyznać, że nie odznaczałem się stałością, wciąż bowiem zmieniałem zawody.

Byłem śpiewakiem, stajennym w cyrku, tańczyłem na sznurze, byłem nauczycielem gimnastyki, sierżantem u strażaków.

Muszę się pochwalić, że zagasiłem pożar w kilku wypadkach.

Od pięciu lat opuściłem Paryż i postanowiłem zostać służącym w Anglii. Tutaj będę mógł może założyć ognisko rodzinne.

Znalazłszy się bez zajęcia posłyszałem, że pan Filip Fogg, najszlachetniejszy i najrozumniejszy człowiek w Anglii, poszukuje służącego, przyszedłem więc tutaj przedstawić się szanownemu panu i, o ile zostanę przyjętym, żyć w spokoju i zapomnieć o swym przydomku.

— Przydomek twój bardzo mi się podoba, — odpowiedział pan domu. Rekomendowano mi ciebie i chwalono. Czy znane ci są moje warunki?

— Tak, panie.

— Dobrze. Która u ciebie godzina?

— Jedenasta i dwadzieścia dwie minuty, odpowiedział Passepartout, wyciągając z kieszeni kamizelki ogromny srebrny zegarek.

— Opóźnia się, — rzekł pan Fogg.

— Ależ to niemożliwe!

— Opóźnia się o cztery minuty. Nie szkodzi. A więc od tej chwili, od jedenastej, minut dwadzieścia dziewięć rano, od środy 2 października 1872 roku, jesteś moim służącym.

To powiedziawszy, Filip Fogg włożył lewą ręką kapelusz i jak automat wyszedł, nie nadmieniając więcej jednego wyrazu.

Passepartout usłyszał zamykającą się po raz pierwszy bramę, gdy odchodził jego pan, potem po raz drugi przy odejściu dawnego służącego.

Passepartout sam więc pozostał.

ROZDZIAŁ II.

Zadowolenie Passepartout z miejsca.

Po wyjściu pana Fogga, Passepartout rzekł do siebie:

— Doprawdy natrafiłem na człowieka solidnego, na figurę z wosku, której brak tylko mowy!

W kilka już minut nowy służący ocenił doskonale swego pana.

Domyślił się, że pan jego musi mieć lat ze czterdzieści, uznał że figurę ma śliczną, postawę szlachetną, że blond włosy jego i faworyty pielęgnowane są przez najlepszego fryzjera i że posiada spokój i godność w ruchach.

Spokojny, flegmatyczny, o oku czystem, nieruchomej powiece, był typem zimnokrwistego Anglika.

Jego przysłowiowa punktualność wzbudzała podziw we wszystkich.

Co się tyczy Passepartout, to nie był on zwykłym przeciętnym służącym z podniesionemi ramionami, nosem zadartym, okiem bez wyrazu... Nie, Passepartout był dzielnym chłopcem o miłej powierzchowności, wargach nieco wydatnych, łagodnym i posłusznym, posiadał głowę małą, okrągłą i kształtną.

Oczy miał niebieskie, twarz rumianą, dość pełną, silną budowę ciała i siłę herkulesową, rozwiniętą przez ćwiczenia w cyrku, którym oddawał się w młodzieńczych latach.

Mówić, że charakter jego zgodny był z usposobieniem pana Fogg, byłoby absurdem.

A jednak, pragnął on spokoju po burzliwych przejściach i po dziesięciu latach służby, w których zamęt, gości, zabawy, wypełniały dni całe, a często i noce.

Z wielką więc radością dowiedział się, że nie lubiący ani zabaw, ani wyjazdów pan Fogg potrzebował służącego.

Wyobrażał sobie, jak to tutaj odpocznie, i do końca życia już pozostanie.

Pozostawszy sam, po wyjściu pana, Passepartout przebiegł cały dom od góry aż do piwnic. Podobał mu się ten dom czysty, o surowym purytańskim wyglądzie, doskonale dla służby urządzony.

Dom ten zrobił na nim wrażenie skorupy ślimaczej, ale skorupy oświetlonej i ogrzanej przez gaz, zaprowadzony we wszystkich pokojach.

Znalazł też bez wielkiego trudu na drugim piętrze przeznaczony dla siebie pokój.

Spodobał mu się bardzo. Dzwonki elektryczne i tuby akustyczne łączyły go z pokojami pierwszego piętra. Na kominku, elektryczny zegar, chodzący i bijący taksamo jak i zegar pana domu, przypominał o tem, co ma o jakiej porze robić służący.

— To mi się podoba, to mi się podoba! — mówił Passepartout, zacierając ręce z radości.

Zauważył też w swoim pokoju, notatnik, zawieszony przy zegarze. Byłto program zajęć codziennych.

Wypisana tam była godzina ósma rano, o której wstawał Filip Fogg, ósma i dwadzieścia trzy — minuty herbata, woda do brody, dziewiąta trzydzieści siedm — czesanie, ubranie — o dziesiątej bez dwudziestu minut. Potem o wpół do dwunastej klub i t. d.

Co do garderoby, to wszystkie rzeczy były ponumerowane i znajdowały się w spisie ubiorów do wyjścia i domowych.

W mieszkaniu pana Fogga nie było ani książek, ani czasopism, wszystko to miał pan Fogg w klubie, do którego uczęszczał.

W sypialni stał duży mocny kufer, którego budowa zabezpieczała i od kradzieży i od pożaru.

Żadnej broni nie było w domu, co świadczyło o spokojnym trybie życia.

Po rozejrzeniu się po wszystkich kątach, Passepartout uśmiechnął się zadowolony, mówiąc:

— To mi się podoba! oto dla mnie służba! Pogodzimy się napewno. Człowiek to punktualny i spokojny i prawdziwie, jak mechanizm! To dobrze, służyć będę mechanizmowi!

ROZDZIAŁ III.

Kradzież w Banku. Zakład pana Fogga.

Filip Fogg wyszedł z domu o godzinie jedenastej i pół i po zrobieniu pięciuset siedemdziesięciu sześciu kroków, stawiając lewą nogę przed prawą i tyleż razy nogę prawą przed lewą, przybył do klubu, obszernego budynku, którego koszt budowy wynosił trzy miliony.

Filip Fogg poszedł najpierw do jadalni, której dziewięć okien wychodziło na ogród zasypany pożółkłymi liśćmi drzew.

Tutaj usiadł na zwykłym swym miejscu przed przygotowanym już nakryciem.

Śniadanie jego składało się z ryby, rost-befu oraz ciastek z łądygami rabarbarowemi i herbaty.

O godzinie dwunastej, minut czterdzieści ośm wstał i skierował się do dużego salonu, ozdobionego malowidłami.

Tutaj służący podał mu gazetę jeszcze nie przeciętą, którą Fogg przeciął dokładnie i otworzył.

Czytanie to trwało do godziny trzeciej, minut czterdzieści pięć, a czytanie innego pisma trwało aż do obiadu.

O piątej minut czterdzieści przeszedł po obiedzie do drugiej sali, gdzie zabrał się do czytania „Porannej Kroniki“.

W pół godziny potem nadeszło kilku członków Klubu i zbliżyło się do kominka, gdzie palił się suty ogień.

Byli to zwykli partnerzy Filipa Fogg'a, jak on zaciekli gracze w wista, mianowicie: inżynier Andrzej Stuart, bankierzy Jan Sulliwan i Samuel Falentin, kapitałiści Tomasz Flanagan i Ralf Gotje — wszyscy bogaci i znakomici światowcy.

— A więc, Ralfie, — odezwał się Tomasz Flanagan, — jakże z tą historją kradzieży?

— Naturalnie, — odpowiedział zapytany, — że bank będzie musiał zapłacić.

— Sądzę że nie, — odpowiedział Andrzej Stuart — właśnie jestem pewny, że złapiemy złodzieja. Inspektorzy policji wyjechali do Ameryki i szukają po całej Europie, na wszystkich portach, wszędzie; trudno będzie temu panu zwać z pieniędzmi.

— A czy natrafiono już na ślady, gdzie przebywa złodziej? — spytał inny z gości siedzących przy kominku?

— Ostatecznie, to nie jest złodziej, — rzekł poważnie Gotje.

— Jakto? nie złodziej, ten, co potrafił podjąć z banku pięćdziesiąt tysięcy funtów w banknotach?

— Nie — odpowiedział.

— Czyż to rzemieślnik?

— „Poranna Kronika“ twierdzi, że to dżentelmen.

Ostatnie te słowa wypowiedział Filip Fogg, którego głowa wyloniła się z pośród stosu gazet.

I jednocześnie Fogg przywitał serdecznie swoich kolegów.

Fakt, o którym szeroko mówiono, zdarzył się przed trzema dniami, 29 września.

Ogromna ta suma, o której teraz mówili w Klubie skradziona była ze stolika kasjera z Angielskiego Banku.

Bank ten tak mocno ufał publiczności, że największe sumy, złoto, srebro, bilety bankowe, wszystko leżało na stoliku otwarcie. Nie podejrzrywano nikogo z przychodzących, aby mógł dopuścić się czynu karygodnego i wziąć coś, co do niego nie należało.

Jeden z długoletnich obserwatorów życia Anglików, opowiadał, co następuje;

Pewnego dnia, gdy był w Banku, wziął do ręki rulon złota, zawierający siedm do ośmiu funtów.

Przyjrząwszy się, podał swemu sąsiadowi, i tak po kolei, aż do stojących na końcu sali przechodził ów rulon, podczas gdy kasjer nie podniósł nawet głowy i nie zwrócił na tę wędrówkę złota uwagi.

Ale 29-go września rzecz miała się inaczej. Zwitek banknotów nie powrócił na stolik kasjera i kiedy zegar wybił godzinę piątą bank, postradał ogromną sumę.

W dniu tym pewien dżentelmen spacerował po sali tam i z powrotem i jego to posądzono o kradzież.

Wyznaczono agentom i inspektorom pięćdziesiąt tysięcy franków nagrody za złapanie złodzieja i żywiono niepłonną nadzieję, że zostanie on pewnego dnia schwytany.

Rozmowa między grającymi przerwała się podczas gry, lecz w przestankach powracano znów do tego tematu.

— Sądzę, — mówił jeden z nich, że złodziej napewno umknie, musi to być spryciarz nielada.

— Ależ niema ani jednego kraju, do którego mógłby umknąć — rzekł drugi.

— Skoro ziemia jest tak bezmierna, — zawyrokował Andrzej Stuart.

— Powiedzmy: była niegdyś, — odpowiedział pół głosem Filip Fogg.

— Jakto niegdyś? — spytał Andrzej Stuart.

— Naturalnie, że tak, — odrzekł Ralf — Jestem zdania pana Fogg'a; ziemia zmniejszyła się o wiele, co widzimy z tego, że możemy ją objechać dziesięć razy prędzej niż dawniej, np. przed stu laty. Teraz można objechać świat naokoło w przeciągu trzech miesięcy.

— W ośmdziesiąt dni tylko, powiedział Filip Fogg.

— W rzeczywistości, w ośmdziesiąt dni, potwierdził Jan Suliwan, — oto obliczenie, pomieszczone w „Porannej Kronice“.

Z Londynu do Suezu przez Brindisi	— 7 dni
Z Suezu do Bombayu	— 13 dni
Z Bombayu do Kalkuty	— 3 dni
Z Kalkuty do Hong Kongu	— 13 dni
Z Hong Kongu do Jokahamy	— 6 dni
Z Jokahamy do San Francisko	— 22 dni
Z San Francisko do New Yorku	— 7 dni
Z New Yorku do Londynu	— 9 dni

Razem — 80 dni

— Tak, ośmdziesiąt dni! — zawołał Andrzej Stuart — ale nie wliczając w to różnych przygód, wiatrów przeciwnych, burzy na morzu, etc.

— Owszem, wszystko to zostało przewidziane! — rzekł spokojnie Filip Fogg, kładąc kartę.

— Nawet, gdyby Indjanie napadli na podróżnych, popsuli szyny, mordowali jadących! — wykrzyknął Stuart.

— Tak, i w takim razie, — rzekł Filip Fogg, nie przerywając gry w wista.

— Teoretycznie ma pan rację, panie Fogg, ale w praktyce...

— W praktyce tak samo, panie Stuart...

— Chciałbym bardzo przekonać się o tem...

— To zależy od pana. Jedźmy razem.

— Niech mnie niebo od tego chroni! — wykrzyknął Stuart, — ale założyłbym się

o cztery tysiące funtów, że podróż w tych warunkach byłaby niemożliwą.

— Owszem, bardzo możliwa,— odpowiedział pan Filip Fogg.

— A więc odbądź pan tę podróż!

— Naokoło świata w ośmdziesiąt dni?

— Tak.

— Z największą chęcią.

— Kiedy?

— Natychmiast.

— Ależ to szaleństwo! — zawołał Andrzej Stuart, kładąc źle kartę.

— Źle pan grasz, — rzekł spokojnie Filip Fogg, popraw pan kartę.

Andrzej Stuart pomyślał chwilę, potem, kładąc karty na stół, rzekł:

— A więc tak, panie Fogg, zakładam się o cztery tysiące funtów!

— Mój drogi Stuarcie, — rzekł Falentin, uspokój się. To chyba nie na serjo...

— Kiedy mówię: stawiam zakład, to znaczy na serjo.

— Niech więc tak będzie! — rzekł pan Fogg. Potem obracając się do kolegów, odezwał się:

— Mam dwadzieścia tysięcy funtów złożonych u braci Baring. Poświęcę je z przyjemnością...

— Dwadzieścia tysięcy funtów! — wykrzyknął Jan Suliwan, — Dwadzieścia tysięcy funtów, które może pan utracić w razie nieprzewidzianego opóźnienia!

— Nieprzewidziane wypadki nie istnieją! — rzekł spokojnie Filip Fogg.

— Ależ panie Fogg, ośmdziesiąt dni, to jest najkrótszy czas, wyznaczony na podróż naokoło świata! To minimum!

— Minimum dobrze przewidziane, starczy.

— Ależ, żeby zdążyć, trzeba wprost przeskakiwać z wagonu do okrętu, z okrętu do powozu, bez minuty odpoczynku. Zastanów się pan!

— Będę przeskakiwał.

— Ależ to żarty!

— Dobry Anglik nie żartuje nigdy, kiedy idzie o rzecz tak poważną, jak zakład, — rzekł Filip Fogg.

Stawiam dwadzieścia tysięcy funtów, jako zakład, że odbędę podróż naokoło świata w ośmdziesiąt dni, czyli w tysiąc dziewięćset dwadzieścia godzin.

Czy zgadzacie się na to panowie?

— Zgadzamy się, — odrzekli wszyscy.

— Dobrze, — odpowiedział Fogg, — Kolej do Duwru odchodzi o godzinie 8-ej 49 minut. Wyjadę tym pociągiem.

— Jakto? już dziś wieczorem? — spytał Stuart.

— Tak, dziś jeszcze, a ponieważ dziś jest środa 2-go października, będę z powrotem w Londynie, w tym samym salonie Klubu w sobotę 21-go grudnia, o godzinie ósmej, minut czterdzieści dziewięć wieczorem.

Oto czek na dwadzieścia tysięcy funtów, króre należeć będą do panów, o ile nie przybędę na czas.

Napisano układ, podpisało go sześciu obecnych.

Filip Fogg był wciąż spokojny.

Wybiła godzina siódma. Poradzono panu Fogg, aby porzucił wista i poszedł do domu przygotować się do wyjazdu.

— Jestem zawsze gotów do drogi, — odpowiedział i grał dalej.

ROZDZIAŁ IV.

Wyjazd w drogę naokoło świata.

O godzinie siódmej, minut dwadzieścia pięć, Filip Fogg, po wygraniu dwudziestu gwinei pożegnał się z kolegami i opuścił klub. O siódmej, minut pięćdziesiąt otwierał drzwi mieszkania.

Passepartout był bardzo zdziwiony, widząc swego pana, wchodzącego o niewłaściwej po-

rze. Filip Fogg wszedłszy do swego pokoju, zawołał.

— Passepartout!

Passepartout nie odpowiedział. Wołanie to nie odnosiło się do niego. Nie była to wyznaczona godzina.

— Passepartout, — powtórzył pan Fogg, nie podnosząc głosu.

Passepartout wszedł.

— Już drugi raz cię wołam.

— Ale niema jeszcze północy, — odpowiedział Passepartout z zegarkiem w ręku.

— Wiem o tem i nie robię ci wymówek, wyjeżdżamy za 10 minut do Duwru.

Coś w rodzaju grymasu przebiegło przez oblicze służącego, zdawało mu się, że źle słyszy.

— Pan wyjeżdża?

— Tak, odbędziemy podróż naokoło świata.

— Naokoło świata! — szeptał Passepartout zdziwiony z obwisłemi rękoma, z oczyma nadmiernie otwartemi.

— W ośmdziesiąt dni, odpowiedział Fogg. Nie mamy ani chwili do stracenia.

— Ale walizy... Trzeba upakować rzeczy... szeptał, jak nieprzytomny służący.

Żadnych waliz. Jeden worek, do którego włożysz dwie płócienne koszule, trzy pary

skarpetek. Tyleż dla siebie. Dokupimy w drodze, spiesz się.

Passepartout chciał coś odpowiedzieć, ale odebrało mu mowę. Opuścił gabinet pana, poszedł do swego pokoju, upadł na krzesło i zawołał w rozpacz:

— Masz tobie! Chciałeś pracować w ciszy i oto jest cisza!

I machinalnie począł robić przygotowania do podróży

— Podróż naokoło świata w ośmdziesiąt dni!

Co to jest? Czy nie ma czasem do czynienia z obłąkaniem? Nie... To pewnie żart.

Jedzie się do Duwru, dobrze. Do Kale, dobrze. A może pojedziemy do Paryża?

O ósmej godzinie Passepartout przygotował pakunek i z umysłem wzburzonym jeszcze opuścił swój pokój, zamknawszy drzwi na klucz i kłódkę.

Pan Fogg był już zupełnie gotów do drogi. W ręku trzymał „Przewodnik w podróży“, potem wziął worek z rąk Passepartout, włożył do niego plikę biletów bankowych i spytał, czy nie zapomniał czego?

— Niczego, proszę pana:

— Weź więc ten worek i strzeż go, jest w nim 500,000 franków.

Passepartout o mało nie upuścił worka na ziemię, tak zdały mu się ciężkimi owe pieniądze.

Pan i sługa wyszli z domu, zamykając drzwi od mieszkania i bramę od ulicy.

Zobaczywszy dorożkę, wsiedli czemprejdzaj. O godzinie ósmej minut dwadzieścia zatrzymano się przed dworcem. Pan zapłacił woźnicy i wolnym krokiem skierował się ku sali.

W tej chwili biedna żebraczka z dzieckiem na ręku, bosa i w łachmanach, zbliżyła się do pana Fogg'a i poprosiła o jałmużnę.

Pan Fogg wyjął z kieszeni wygranych dwadzieścia gwinei, i podał mówiąc.

— Weź to biedna kobieto, cieszę się, że cię napotkał!

Passepartout poczuł łzy pod powiekami. Wzruszyła go dobroć jego pana.

Pan Fogg kazał swemu służącemu kupić dwa bilety pierwszej klasy do Paryża, potem obróciwszy się w drugą stronę, spostrzegł swych pięciu kolegów z Klubu.

— Panowie, — rzekł — jadę, a dowodem, że objadę świat będą różne oznaki na moim paszporcie, stemplowanym na głównych stacjach.

— Ach! panie Fogg, — odpowiedział grzecznie Ralf — to zbyt uczte. Polegamy w zupełności na pańskim honorze!

— Ale tak będzie pewniejsze, — rzekł Fogg.

— Czy pamięta pan, datę powrotu zauważył Stuart.

— Po ośmdziesięciu dniach, w sobotę 21 grudnia 1872 r. o godzinie 8-ej 45 minut wieczorem. Do widzenia panom.

O godzinie 8-ej minut 40 pan Fogg usiadł w jednym przedziale ze swym służącym. O g. 8-ej m. 45 rozległ się gwizd lokomotywy i pojechali.

Noc była ciemna, padał drobny deszcz. Fogg, wciśnięty w kąt wagonu, nie mówił nic.

Passepartout jeszcze niepewny, czy to czasem nie sen, przyciskał mocno do piersi worek z banknotami.

Ale za ledwie pociąg ruszył, Passepartout wydał okrzyk rozpaczy.

— Co ci się stało? — spytał Fogg.

— Podczas pośpiechu, i w zamieszaniu, zapomniałem...

— Czego?

— Zamknąć gazu w moim pokoju!

— A więc mój chłopcze, rzekł spokojnie, — gaz pali się na twój rachunek!

ROZDZIAŁ V.

Posądzenie Filipa Fogga o kradzież.

Filip Fogg, wyjeżdżając z Londynu, nie wątpił, że wyjazd jego sprawi ogromne wrażenie.

Wiadomość o zakładzie rozeszła się szybko po klubie i wywarła wrażenie niesłychane. Z klubu wieść ta dostała się do pism i rozeszła się po całej Anglii.

Sprawa podróży naokoło świata była komentowana, roztrząsana z ogromnym zapalem. Jedni brali stronę Filipa Fogga, inni, a tych była większość, powstawali przeciw niemu gwałtownie.

Times, Standart, Poranna Kronika i dwadzieścia innych dzienników wypowiadały się przeciw panu Fogg.

Tylko Daily Telegraph zapatrywał się na to pobłażliwie.

Filip Fogg przezwany został manjakiem, warjatem i odsądzony był od rozumu.

W pierwszych dniach po wyjeździe Filipa Fogga pomieszczono jego fotografię w ilustrowanych pismach i nie było czytelnika, któryby nie krytykował podróżnika.

W pewnem piśmie coś około 7-go października ukazał się bardzo długi artykuł, wykazujący szaleństwo podróżnika.

Wedle tego artykułu przeszkody były tak wielkie, że nie można było myśleć o powodzeniu wyprawy.

Aby wykonać podróż naokoło świata w 80 dni trzeba by niezwykłej punktualności, wprost cudownej akuracności, która była niemożliwą do urzeczywistnienia.

Co do pociągów, to osądzono, iż w Europie liczyć można na jakąkolwiek punktualność, ale, gdy się znajdzie podróżny w Indjach, nie może nawet o niej marzyć.

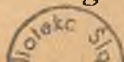
A wypadki kolejowe, wykolejenia pociągów, zła pogoda, zasypy śnieżne, czyż to wszystko nie było przeciw Filipowi Fogga?

Starczy tylko jednego opóźnienia, a za nim pójdą inne, pójdą zmiany godzin w pociągach.

Artykuł ten wywołał ogromny hałas. Prawie wszystkie dzienniki przedrukowały go i wtedy to ostatecznie potępiono szaleńczą podróż Fogga.

Zaczęto się zakładać o to, czy Filip Fogg wygra zakład, czy przegra, a zakłady są charakterystyczne dla Anglików, o byle rzecz gotowi są zakładać się.

Jeden jedyny stronnik Fogga istniał w Londynie. Był nim lord Albermale, który przez całe życie marzył o objechaniu naokoło świata, a teraz przykuty do swego fotela, sparali-



żowany, ofiarował 100,000 franków, dla Filipa Fogga, jeśli ten dopnie swego zamiaru.

I kiedy głupota ludzka wysilała się na to, żeby ośmieszyć i zdeptać plan Fogga, on powiedział: Jeśli to rzecz do wykonania, to dobrze, że pierwszym, który tego dopnie, będzie Anglik.

W siedem dni po odjeździe Fogga zdarzył się wypadek, który zatrzęsł całym miastem.

Dyrektor policji otrzymał depeszę tej treści: „Suez — Londyn.

Rowan, Dyrektor Policji.

„Złapałem złodzieja, który okradł Bank, Filipa Fogga. Proszę wysłać natychmiast rozkaz aresztowania go w Bombayu.

Fix, detektyw.

Skutek tej depeszy był piorunujący. Honorowy dżentelmen ustąpił miejsca złodziejowi banknotów.

Fotografia jego umieszczona w albumie Klubu była teraz ogromnie rozpatrywana.

Przypominano sobie tajemnicze życie Fogga, jego osamotnienie, nagły wyjazd i stało się widocznem, że podróż ta naokoło świata miała za cel umknienie od agentów policji.

ROZDZIAŁ VI.

Wizyta u konsula. Detektyw śledzi Fogga.

Zobaczmy w jakich okolicznościach została wysłana ta alarmująca depesza.

W środę 9 października oczekiwano przybycia parowca Mongolja, który miał zawieźć podróżnych do Bombayu.

Oczekując na ów pośpieszny parowiec, dwoje ludzi przechadzało się pośród tłumu, zebranego na czyjeś powitanie lub wyjazd.

Z dwojga tych ludzi jeden był agentem konsularnym, mieszkającym w Suezie, drugi był to mały człowieczek, szczupły, o wyrazie twarzy inteligentnym, nerwowym i o niezwykle żywych oczach, w których przebijała silna wola i odwaga.

W tej chwili okazywał wielką niecierpliwość, chodząc wciąż i nie mogąc ustać na miejscu.

Człowiek ten nazywał się Fixem i był jednym z tych detektywów, których wysłała policja na wyszukanie i przyłapanie złodzieja, który okradł bank. Otóż Fix musiał uważać z wielką troskliwością i staraniem na przyjezdnych z Suez i, jeśli którego podejrzewał, łapać i czekać pozwolenia na aresztowanie.

Rzeczywiście przed dwoma dniami detektyw otrzymał zawiadomienie, że osoba dystygowana, która spacerowała po sali Banku podczas kradzieży, będzie tędy przejeżdżała na pewno.

Detektyw, zachęcony dużą nagrodą, przyglądał się wszystkim i z niecierpliwością oczekiwał przybycia pociągu.

— Mówisz więc panie, konsulu, — rzekł, — że statek ten nie opóźnia się nigdy?

— Nigdy, panie Fix, — odpowiedział konsul, — był już sygnalizowany wczoraj. Statek ten zawsze otrzymuje nagrodę za najszybszy bieg.

Ale nie rozumiem, jak będziesz mógł rozpoznać tylko z opisu ci przesłanego osobę podejrzaną?

— Panie konsulu, — odpowiedział Fix — my agenci mamy specjalny węch, po zapachu poznam złodzieja, chociażby się przebrał w dygnitarskie szaty.

— Życzę ci, panie Fix, złapania owego pana, bo idzie tu o ważną bardzo kradzież.

— Kradzież wspaniała! — wykrzyknął z zapalem agent. Piędziesiąt pięć tysięcy funtów! Rzadko kiedy zdarzają się takie wypadki. Złodzieje robią się beczelni!

— Panie Fix, — odpowiedział konsul, — mówi pan w taki sposób, że zdaje się, iż panu się uda, ale powtarzam, rzecz to bardzo trudna

i łatwo pomylić się można. Z opisu danego wypadu, że złodziej ów wygląda na uczciwego człowieka.

— Panie konsulu, — rzekł Fix — wielcy złodzieje zawsze mają wygląd uczciwych. Trzeba przedewszystkiem obserwować postacie o szlachetnym wyglądzie.

Trudna praca, nie przeczę, jestto już nie wprost rzemiosło, ale sztuka.

Tymczasem pobrzeże zappełniło się ludźmi. Marynarze różnej narodowości, kupcy, tragarze etc. stawali nad morzem, oczekując przybycia statku.

Pogoda była piękna, ale wiatr zachodni dał ostro i przenikał zimnem powietrzem.

Na powierzchni Czerwonego morza płyнуło kilka statków rybackich, z których parę miało wygląd starożytnej galery.

Fix z przyzwyczajenia przyglądał się wszystkiemu stojącemu.

Było już w pół do jedenastej.

— Ależ on nie nadjedzie dzisiaj! — zawołał.

— Już jest niedaleko, — rzekł konsul.

— Jak długo stać będzie tutaj?

— Cztery godziny. Musi nabrać węgla i pożywienia.

— Z Suezu idzie do Bombayu? — pytał Fix.

— Tak, do Bombayu.

— A więc, — rzekł detektyw, — jeśli złodziej jest na tym statku, to będzie musiał wyjść.

— A może siedzi sobie spokojnie w Londynie... Kto to wie?

To mówiąc, konsul odszedł, pozostawiając inspektora policji na brzegu.

Niedługo już czekał. Głośny gwizd oznajmił o zbliżaniu się parowca.

Cała gromada tragarzy i fellahów wypadła na brzeg.

Dwanaście łódek oderwało się od rzeki i popłynęło ku Mongolji.

Wkrótce spostrzeżono olbrzymi parowiec, przesuający się między brzegami kanału i o godzinie jedenastej stanął u brzegu.

Liczba pasażerów była ogromna. Wielu stało na pokładzie, przyglądając się panoramie miasta ale większa część wylądowała w łodziach.

Fix przyglądał się wszystkim badawczo.

W tej chwili jeden z przybyłych zbliżył się do niego i, odepchnąwszy energicznie cisnących się tragarzy, spytał go, gdzie jest biuro agencji konsulatu angielskiego, w którym można było otrzymać stempel na paszporcie?

Przy tych słowach pokazał mu paszport.

Fix, wziął do rąk ów paszport i przeczytał rysopis.

Książka zadrżała mu w ręku, wzruszenie odmalowało się na twarzy. Rysopis zgadzał się najzupełniej z opisem wyglądu tego, który ukradł pieniądze z Banku.

— Czy jest to paszport pański? — spytał.

— Nie, to jest paszport mego pana.

— A gdzie jest pan?

— Został na brzegu.

— Ale, — powiedział agent, — trzeba, żeby osobiście stawił się w biurze konsulatu.

— Jakto? Czyż to konieczne?

— Konieczne.

— A gdzie jest biuro?

— Tam, w kącie placu, o dwieście kroków stąd.

— Idę więc poszukać mego pana, któremu napewno się to nie spodoba!

To mówiąc, Passepartout uklonił się agentowi i odszedł.

ROZDZIAŁ VII.

Fogg notuje przygody.

Inspektor policji czemp prędzej skierował się ku biurom konsulatu.

Natychmiast wprowadzony został do swego zwierzchnika.

Podróż naokoło świata.

— Panie konsulu. — rzekł bez żadnego wstępu, mam silne podejrzenia co do jednego człowieka, który przyjechał teraz parowcem.

I opowiedział o tem, co mu się zdarzyło ze służącym Fogga.

— Dobrze, — odpowiedział konsul, — nie rozgniewam się wcale, jeśli zobaczę tego nicponia. Ale pewnie, nie pokaże się on tutaj w mem biurze, jeśli jest tym, za którego go pan bierzesz

Złodziej nie lubi pozostawiać za sobą śladów swej bytności, wszak ta formalność z paszportem jest najzupełniej zbyteczna.

— Panie konsulu, — rzekł Fix — przyjdzie napewno.

— Po wizę paszportu?

— Tak. Paszporty nie służą na nic innego złodziejom, jak na ułatwienie im ucieczki. Jestem przekonany, że pan ten będzie miał wszystkie papiery w porządku...

Ale bez względu na to, muszę zatrzymać tu tego pana, dopóki nie przyjdzie rozkaz z Londynu, abym go aresztował.

— Ach, tak! ale to tylko pana obowiązek, panie Fix, ja się tam do tego nie wtrącam...

Konsul chciał coś jeszcze powiedzieć, ale drzwi się otwarły i chłopiec biurowy wprowadził dwie osoby: jeden z przybyłych byłowym

służącym, z którym Fix przed chwilą rozmawiał, drugi był jego panem. Pan przedstawił swój paszport, prosząc konsula, aby dał stempel.

Konsul przyjrzał się paszportowi, przeczytał go uważnie, podczas gdy Fix w kącie gabinetu przyglądał się i wprost pożerał oczyma nieznajomego.

Kiedy konsul skończył przeglądanie paszportu wtedy zapytał:

— Jesteś pan Filipem Fogg?

— Tak panie, — odpowiedział dżentelmen.

— A człowiek ten jest pana służącym?

— Tak. Jestto Francuz, zwany Passepartout.

— Czy przybywa pan z Londynu?

— Tak.

— A dokąd pan jedzie?

— Do Bombayu.

— Dobrze, panie, Pan wie, napewno, że wiza paszportu nie jest konieczna i że nie wymagamy okazywania paszportu.

— Wiem o tem, — rzekł Filip Fogg, ale chcę mieć dowód, że jechałem przez Suez.

— Zgoda! — rzekł inspektor i przyłożył pieczęć.

Filip Fogg, uklonił się chłodno i wyszedł ze swym służącym.

Po jego odejściu rzekł Fix do konsula:

— A więc?

— A więc, — odrzekł konsul — minę ma człowieka uczciwego!

— Być może, — odpowiedział inspektor, — ale nie o to chodzi. Czy nie uważał pan konsul, że człowiek ten zupełnie a zupełnie podobny jest do opisanego w urzędzie śledczym?

— Przyznaję, ale wierzyć rysopisom nie zawsze można.

— Będę miał sumienie czyste, jeśli nie pomnę żadnej okazji do pochwycenia złodzieja.

Służący tego pana zdaje mi się być bardziej wyraźnym od tego dżentelmena.

Przytem jest Francuzem, a Francuz nie potrafi wstrzymać się od gadania...

Do widzenia, panie konsulu!..

Powiedziawszy to, agent wyszedł i zabrał się do wyszukania Passepartout.

Tymczasem pan Fogg, wyszedłszy od konsula, skierował się ku brzegowi. Tutaj wydał pewne polecenia słuzącemu i wsiadł do łodzi, powrócił nią na pokład Mongolji i wszedł do swej kajuty.

Wziął notes na którym było wypisane, co następuje:

„Opuściłem Londyn w środę, 2 października wieczorem o 8 godzinie 45 minut.

„Przybyłem do Paryża, w czwartek, 3 października o 7 minut 20 rano.

„Opuściłem Paryż o 8 40 m. rano.

„Przybyłem do Turynu w piątek, 4 października o 6 minut 35 rano.

„Opuściłem Turyn w piątek, o 7 m. 20 rano.

„Przybyłem do Brindisi, w sobotę, 5-go października o g. 4-ej popołudniu.

„Wsiadłem do Mongolji, w sobotę o 5-ej popołudniu.

„Przybyłem do Suez, w środę, 9-go października, o godz. 11-ej rano.

Suma godzin i 158 $\frac{1}{2}$ — dni 6 $\frac{1}{2}$.“

Pan Fogg wypisał te daty, aby wiedzieć, czy nie opóźnia się jego podróż.

Po zrobieniu obrachunku za czas przebyty w podróży, zasiadł do śniadania w swojej kajucie.

Nie miał też wcale zamiaru obejrzenia miasta, pozostawiając to swemu służącemu, któremu dał urlop na czas postoju Mongolji.

ROZDZIAŁ VIII.

Badanie Passepartout przez Fixa.

Zaraz po wyjściu z konsulatu, Fix natknął się na Passepartout.

Ten ostatni chodził i szukał czegoś.

— A więc — spytał Fix — czy paszport został ostemplowany?

— Ach! to pan, — odpowiedział Passepartout.

— Wszystko załatwione, w porządku.

— Czy oglądasz pan miasto?

— Tak, ale jedziemy wciąż tak naprzód i tak szybko, że zdaje mi się, że śnię. Czy jesteśmy w Suez?

— W Suez.

— W Egipcie?

— Tak, w Egipcie.

— I w Afryce?

— W Afryce.

— W Afryce! — powtórzył Passepartout, Nie chce mi się wierzyć temu. Wyobraź pan sobie, że nie myślałem nigdy, abym gdzieś dalej wyjechał poza Paryż...

Wolałbym stanowczo Paryż od Suezu...

Kocham to miasto francuzkie, jak prawdziwy Francuz!

— Czyście się panowie bardzo śpieszyli?

— Ja nie, ale mój pan. Ale, ale, mam kupić koszule i parę sztuk innej bielizny! Wyjechaliśmy bez bagaży, tylko z workiem podróżnym.

— Zaprowadzę pana do bazaru, gdzie znajdzie się wszystko, czego panom potrzeba.

— Panie, — odpowiedział Passepartout, — jesteś pan bardzo uprzejmym.

Wyruszyli zaraz w drogę, podczas której służący pana Fogga wciąż coś mówił.

— Przedewszystkiem — odezwał się — idzie oto, żebym się nie spóźnił na pociąg!

— Ma pan czas jeszcze, — rzekł Fix — dopiero południe!

Passepartout wyjął z kieszeni swój duży zegarek.

— Południe — powtórzył — ależ jest teraz dopiero godzina dziewiąta i pięćdziesiąt dwie minuty!

— Zegarek pana opóźnia się, — rzekł inspektor.

— Mój zegarek! — wykrzyknął wzburzony Passepartout. — Nigdy. Zegarek rodzinny, pochodzący jeszcze od mego pradziadka. Nie zmienia się ani o 5 minut w ciągu roku. To prawdziwy chronometr!

— Wiem co to znaczy, — objaśniał Fix — zachował pan czas londyński, który opóźnia się o 2 godziny prawie od zegara suezkiego. Trzeba przesuwać wskazówki, jadąc ku południowi.

— Ja! ja miałbym poprawiać mój zegarek Nigdy!

— A więc nigdy nie będzie on w zgodzie ze słońcem.

— Tem gorzej, panie, dla słońca! To ono będzie się myliło, nie mój zegarek!

I dzielny chłopak włożył do kieszeni zegarek ze wspaniałym gestem.

W chwilę potem, zapytał go inspektor.

— Czy pan nagle opuścił Londyn?

— Naturalnie! W środę ubiegłą, o ósmej wieczorem, wbrew swym zwyczajom, pan Fogg wrócił z klubu i w trzy kwadranse potem byliśmy już w drodze.

— Dokąd jedzie pan Fogg?

— Wciąż naprzód! Objeżdża świat naokoło.

— Świat naokoło — wykrzyknął Fix zdumiony.

— Tak, w osiemdziesiąt dni! Zakład podobno.

— A więc to oryginał ten pan Fogg?

— Tak myślę.

— Czy bogaty?

— Pewnie. Z sobą ma dużą sumę pieniędzy. I nie żałuje ich w drodze. Czy wie pan, że obiecał dużą sumę maszyniście Mongolji, jeżeli przyspieszy przyjazd do Bombay.

— Czy zna pan oddawna pana Fogga?

— Ja? — spytał Passepartout — przyszedłem do niego do służby tego dnia, któregośmy wyjechali.

Można pojąć wrażenie, jakie wywarły opowiadania Passepartout.

Ten nagły wyjazd z Londynu, wkrótce po kradzieży, ta duża suma pieniężna zabrana ze sobą, ten pośpiech, aby być jaknajdalej od Londynu, pretekst ekscentrycznego zakładu, wszystko to utwierdzało Fixa w jego przypuszczeniach.

Wypytywał jeszcze Francuza o różne rzeczy i doszedł do przekonania, że chłopak ten nie znał zupełnie swego pana.

— Czy daleko do Bombayu? — spytał Passepartout inspektora.

— Dosyć daleko, jeszcze ze dwanaście dni na morzu.

— A gdzie jest Bombay?

— W Indjach.

— W Azji?

— Naturalnie.

— A, do diabła! co to ja panu chciałem powiedzieć... istnieje rzecz, która mnie przeraża... to mój kran!

— Co za kran?

— Mój kran od gazu, który zostawiłem niezamknięty. Gaz pali się na mój koszt. Im dłużej będziemy w drodze, tem więcej zapłacę.

Fix tak był przejęty myślą o możliwym napotkaniu zaraz na wstępie poszukiwań sprawcy kradzieży w banku, że nie zrozumiał chyba strapienia Passepartout.

W końcu przybyli do bazaru, inspektor pozostawił Passepartout, a sam poszedł czemprędzej do konsulatu.

— Panie, — rzekł do konsula, — nie mam najmniejszej wątpliwości. Człowiek ten, chcąc się ukryć przed policją, udaje dziwaka, chcącego objechać świat wokoło.

— A więc chce on objechać świat i wrócić spokojnie do Londynu, omyliwszy policję, rzekł konsul.

— Zobaczymy, — odpowiedział Fix.

— Ale czy pan się nie myli? — zwrócił mu uwagę konsul.

— Napewno się nie myłę.

— A więc pocóżby ów złodziej kazał ostemplować swój paszport?

— Dlaczego? Tego nie wiem, panie konsulu, ale proszę tylko posłuchać!

I w kilku słowach opowiedział swą rozmowę z Passepartout.

— Rzeczywiście, — rzekł konsul, — wszelkie poszlaki są przeciw niemu. Ale co pan myślisz uczynić?

— Wysłać depeszę do Londynu, aby mi przysłano rozkaz aresztowania go w Bombayu.

Wypowiedziawszy te słowa, agent pożegnał się z konsulem i poszedł do biura telegraficznego.

Stamtąd wysłał znaną nam depeszę do dyrektora policji w Londynie.

W kwadrans potem Fix z małą walizką w ręku, wsiadł na Mongolję, i wkrótce potem lekki statek pędził całą siłą pary na wodach Czerwonego Morza.

ROZDZIAŁ IX.

Dalsze wybadywanie służącego przez inspektora policji.

Odległość między Suezem a Adenem wynosi tysiąc trzysta dziesięć mil. Mongolja pędziła szybko, dzięki obietnicy Fogga.

Większość pasażerów wylądowawszy w Brindisi, za cel miała zwiedzenie Indji.

Jedni stanęli w Bombayu, drudzy w Kalkucie.

Między pasażerami Mongolji byli różnego stanu ludzie, cywilni i wojskowi.

Wygodnie było wszystkim na statku. Śniadania, podwieczorki, obiady, kolacje były bardzo sute i wytworne.

Pasażerki zmieniały wciąż stroje, stosując się do okoliczności. Grano, tańczono nawet, o ile na to morze pozwalało. Ale morze Czerwone jest kapryśne i często bardzo nieprzyjazne.

Jak tylko wiatr dął z brzegów Azji, lub Afryki, Mongolja przechylała się straszliwie.

Damy wtedy znikwały w kajutach, muzyka i tańce ustawały.

Mimo jednak złych prądów i wiatrów Mongolja jechała szczęśliwie ku zatoce Babel-Manoleb.

Co robił, przez ten czas Filip Fogg? Zdawałoby się, że strwożony i niespokojny siedzi w swojej kajucie i oblicza, czy się nie opóźni.

Ale tak nie było. Człowiek ten, zawsze jednakowo spokojny, siedział cicho i, żaden wiatr, żadne niepomyślne warunki podróży nie przejmowały go zupełnie.

Widziano go bardzo rzadko na pomoście. Nie zajmował go wcale widok morza, tak głośnego w starożytności, nie wzruszały go wcale wspomnienia legend.

Cóż więc robił ten oryginał, uwięziony samowolnie w Mongolji?

Oto jadł cztery razy dziennie, jak i w Londynie, zaś potem grał w wista.

Tak! Znalazł on i tutaj partnerów, tak samo zapalonych, jak i on: taksatora, jadącego na swe stanowisko do Goa, ministra Smitha, wracającego do Bombayu i brygadjera armji angielskiej, który jechał do Benares.

Ci trzej pasażerowie pałali takąż samą pasją do gry w wista, jak i pan Fogg i zdolni byli, jak i on grać spokojnie całemi godzinami.

Co do Passepartout, to nie nawiedziła go choroba morska.

Zajmował on kabinę frontową i zjadał, ile tylko chciał.

Podróż w tych warunkach podobiała mu się bardzo.

Dobrze żywiony, wygodnie umieszczony, oglądał wciąż nowe kraje i wreszcie wmawiał wciąż w siebie, że cała ta fantazja pańska skończy się w Bombayu.

Wkrótce po wyjeździe z Suez, z wielkiem zadowoleniem spotkał dobrze sobie znajomego inspektora policji, który również jechał w Mongolji.

— Nie mylę się chyba, — rzekł spotkawszy swego znajomego—że to pan, którego poznałem w Suezie?

— Rzeczywiście, nie myli się pan, to ja we własnej osobie... To pan jest służącym tego oryginała Anglika?

Tak, panie...?

— Fix...

— Panie Fix,—powtórzył Passepartout.— Jestem zachwycony, że pana spotykam tutaj. A dokąd pan jedzie?

— Tak jak i pan, do Bombayu!

— Jakto dobrze! Czy jeździł już tam pan kiedy?

— Kilka razy. Jestem bowiem agentem pewnej kompanji...

— A więc zna pan Indje?

— Naturalnie...

— Czy to prawda, że kraj to bardzo ciekawy?

— Bardzo! Minarety, świątynie, fakirzy, pagody, tygrysy, węże, bajadery! Mam nadzieję, że panowie zwiedzicie to miasto?

— Spodziewam się, panie Fix. Rozumie pan, że niepodobna przecie człowiekowi o zdrowych zmysłach wciąż tylko przeskakiwać z pociągu do pociągu, albo z okrętu do okrętu, nie odpocząwszy nigdzie i nie przyjrząwszy się miastu, przez które się przejeżdża.

Z pewnością cała ta podróż skończy się na Bombayu, jestem przekonany...

— A pan Fogg czy dobrze się czuje? — spytał inspektor na pozór spokojnie.

— Bardzo dobrze, panie Fix. Ja także czuję się doskonale. Jem, jak olbrzym po poście. Działa tak na mnie morskie powietrze.

— A czemu to waszego pana nie widać nigdy na pokładzie...

— Nigdy nie wychodzi, bo nie jest ciekawy.

— Wiesz co, panie Passepartout, że ta podróż naokoło świata w osiemdziesiąt dni zdaje mi się ukrywać jakąś tajemnicę... może misję dyplomatyczną na przykład.

— Niech mi pan wierzy, panie Fix, że nie mam pojęcia i przyznam się, że i pół korony nie dałbym za to, żeby wiedzieć... Nic mnie to nie obchodzi.

Od chwili spotkania Passepartout i Fix byli często razem. Inspektor policji starał się wciąż być ze służącym pana Fogga, aby go mógł badać co do jego pana. Często fundował mu przy bufecie Mongolji parę kieliszków wódki, co dzielny chłopak przyjmował bez ceremonji, uważając, że Fix jest szlachetnym dżentelmenem.

Tymczasem parowiec zbliżał się szybko ku swemu przeznaczeniu.

Trzynastego widziano już Mekkę, która ukazała się oczom podróżnych ze swemi zrujnowanemi murami.

W dali widać było plantacje słynnej z dobroci kawy.

Passeportout zachwycony był widokiem tego sławnego miasta i cieszył się, że widzi to, o czem nie śmiał nawet marzyć.

Mongolja miała jeszcze tysiąc sześćset pięćdziesiąt mil do Bombayu, musiała jeszcze stawać w Steamor, aby zaopatrzyć się w świeżą żywność i opał.

Opóźnienie to nie przeszkadzało planom Filipa Fogga; było to przewidziane oddawna. Pan Fogg wyszedł na brzeg ze swym służącym.

Dżentelmen chciał ostemplować swój paszport. Fix towarzyszył mu niepostrzeżony. Kiedy formalność była załatwiona, wrócili na swoje miejsca.

— Bardzo ciekawe! Bardzo ciekawe — mówił, idąc, Passepartout i oglądając się na wszystkie strony. — Nie żałuję, że tu jestem! Widzę teraz, że podróż jest bardzo miłym zajęciem i że dużo nowego można zobaczyć.

O szóstej Mongolja odjechała z Adenu i wypłynęła na wody Indji.

Morze indyjskie sprzyjało jeździe. Wiatr dął w stronę północną, statek posuwał się szybko. Pogoda była prześliczna, pasażerowie ukazywali się na pokładzie w świeżych ubiorach. Śpiewy i tańce rozpoczęły się na dobre. Podróż odbywała się w jaknajlepszych warunkach. Passepartout zachwycony był sympatycznym Fixem, który nie odstępował go prawie.

W niedzielę dwudziestego października, koło południa spostrzeżono już brzegi Indji. W dwie godziny potem zobaczono rzędy palm, które otaczały miasto, zaś o godzinie czwartej i pół zatrzymano się w Bombaju.

Filip Fogg zakończył grę szczęśliwie ze swymi partnerami, którzy pożegnali się z nim serdecznie.

ROZDZIAŁ X.

Fix czeka na rozkaz zaaresztowania Fogg, tymczasem jedzie z nim razem.

Pan Fogg, pożegnawszy się ze swymi partnerami, wydał niektóre polecenia swemu służącemu i kazał mu być z powrotem przed ósmą i krokiem miarowym poszedł do biura paszportowego.

Nie zwracał on wcale uwagi na cuda tego miasta, nie bawiło go nic, ani hotel, ani wspaiała biblioteka, ani forteca, ani doki, ani bazy, synagogi, meczety, pagody. Nic, zgoła nic. Wychodząc z biura Filip Fogg poszedł prosto do bufetu i kazał podać obiad. Między innemi potrawami, gospodarz hotelu polecił mu podać nieznaną potrawę: króliki krajowe, o których mówił cuda.

Filip Fogg spróbował galarety z królika, ale uznał potrawę tę za niesmaczną.

Zadzwonił na gospodarza.

— Panie — rzekł, patrząc na niego badawczo, — czy to z królika?

— Tak, panie, — rzekł beczelnie, — z królików.

— A czy ten królik nie miauczał czasem, gdy go zabijano?

— Czy miauczał? Ależ, proszę pana. Królik miauczał? Przysięgam...

— Panie gospodarzu hotelu, — powiedział Fogg chłodno, — nie przysięgaj pan i pamiętaj o tem, że niegdyś w Indjach koty uważane były za zwierzęta święte. Były to dobre czasy.

— Dla kotów, panie?

— A może także i dla podróżnych!

Uczyniwszy tę uwagę, Fogg jadł już inne potrawy spokojnie.

W kilka minut po tej scenie, Fix udał się do dyrektora policji.

Przedstawił mu się, jako dedektyw i opowiedział o swej podróży i podejrzeniach co do Fogg.

Pytał się, czy nie przyszedł z Londynu rozkaz aresztowania?

Dowiedział się, że nie otrzymano żadnej depeszy.

Fix był mocno niezadowolony. Chciał więc wymódlz na dyrektora policji rozkaz aresztowania, ale odmówiono mu:

Fix zrozumiał, że musi czekać na przysłanie nakazu z Londynu: Ale tymczasem postanowił nie tracić z oczu podejrzanego o kradzież Fogga.

Odkąd Passepartout otrzymał nowe polecenie od swego pana, zrozumiał, że podróż ich nie zakończy się na Bombaju, lecz że przeciągnie się aż do Kalkuty, a może i dalej jeszcze.

I zaczął zapytywać sam siebie, czy ta podróż naokoło świata, przedsięwzięta przez jego pana, nie odbędzie się na serjo i czy fatalizm nie zawlecze go na krańce ziemi, jego, który pragnął prowadzić życie spokojne i nie włożyć się już po obczyźnie!

Zakupiwszy znowu parę sztuk bielizny, przechadzał się po ulicach Bombaju.

Interesowały go różne narodowości. Widział on i Europejczyków, i Persów w zaostrzonych kołpakach i Bunhyasów w okrągłych turbanach, Sindów w płaskich kołpakach, Armeńczyków w długich szatach, Parsów w czarnych mitrach.

Tego dnia obchodzili Parsowie jakieś święto na cześć Zoroastra.

Święcono właśnie karnawał religijny z procesjami, w których brały udział bajadery, ubra-

ne w gazę różową haftowaną złotem i srebrem. Bajadery te przy dźwiękach muzyki tańczyły przepięknie rozmaite tańce.

Passepartout zapatrzoney w tańce i procesję, szedł, zapominając o tem, że ma wracać na czas oznaczony do swego pana.

Ciekawość zawiodła go dalej, niż potrzeba.

Nakoniec, przypomniał sobie, że ma wracać do hotelu, gdy naraz znalazł się przed pagodą Malebar Hill i postanowił na swoje nie-szczęście zwiedzić ją.

Nie zważał na to, a i nie wiedział, że wstęp do świątyń induskich jest dla chrześcijan wzbroniony i że nawet wierzący nie mogą wejść do pagody, nie zdjawszy wpierw obuwia przy drzwiach.

Rząd angielski, szanując religję swych mieszkańców, karze surowo przestępców tego prawa.

Passepartout, wszedłszy do pagody, podziwiał rzeźby i upiększenia, i nie zauważył, jak znenacka napadło nań trzech indyjskich kapłanów, którzy zdarli mu z nóg buty i pończochy i zaczęli go bić, wydając przytem dzikie okrzyki. Francuz, zgrabny i wyćwiczony w gimnastyce, zerwał się z podłogi, jednym uderzeniem pięści i nogi przewrócił dwóch przeciwników, którzy zaplątali się w długie szaty i, pędząc coś do wrót świątyni, uciekł przed

trzecim, który wybiegł za nim i zaczął podburzać tłumy.

O godzinie 7-ej minut 55, na kilka minut przed odejściem pociągu Passepartout wbiegł bez kapelusza, bosy, bez paczki z zakupioną bielizną na peron.

Fix był na stacji i obserwował pana Fogga, dochodząc do przekonania, że ten ostatni nie zatrzyma się w Bombaju.

Jednak z ciężkiem sercem postanowił towarzyszyć im do Kalkuty a i dalej, gdy tego zajdzie potrzeba.

Passepartout nie spostrzegł Fixa, stojącego w cieniu, ale Fix wysłuchiwał uważnie opowiadania o awanturach, jakie go spotkały.

Biedny chłopak, bosy, bez kapelusza, postępował zawstydzony za swym panem.

Fix przeszedł do odosobnionego wagonu, gdy naraz przyszła mu pewna myśl do głowy.

— Nie, rzekł do siebie, — nie pojedę. Świętokradztwo popełnione na indyjskiem terytorjum, to niemała rzecz — skorzystam z tego.

ROZDZIAŁ XI.

Podróż do Kalkuty. Przeszkody. Jazda na słoniu.

Pociąg odszedł o oznaczonej godzinie. Uwoził mnóstwo pasażerów, kilku oficerów, urzędników cywilnych, kupców.

Passepartout zajmował ten sam przedział, co i jego pan. Trzeci pasażer siedział w osobnym kącie.

Był to brygadjer generalny, pan Franciszek Cromarty, jeden z partnerów w drodze do Bombaju.

Od lat młodych zamieszkiwał Indje i rzadko kiedy kraj swój odwiedzał.

Był to człowiek wykształcony, który na pewno poinformowałby Filipa Fogg'a co do obyczajów induskich, jeśliby go o to spytał.

Ale Fogg o nic nie pytał.

Pan Franciszek Cromarty zauważył dziwactwa swego współtowarzysza podróży. Zapytywał siebie w duchu, czy pod zimną powłoką zewnętrzną biło w nim serce ludzkie i czy Filip Fogg wrażliwy był na piękno natury. Ze wszystkich spotykanych przez brygadjera oryginałów, ten zdawał się być największym.

Filip Fogg bynajmniej nie ukrywał przed panem Cromartym swego planu podróży naokoło świata.

Brygadjer widział w tym zakładzie dziwactwo a poniekąd i bezużyteczne szaleństwo, pozbawione wszelkiej racji.

W godzinę po opuszczeniu Bombaju, pociąg przebył wyspę Salcetę i jechał po równym łądzie.

Na stacji Kalyan, przeszedł szybko uboczne miasteczka i stację Pauwel.

W tem miejscu napotkał góry bazaltowe, których najwyższe wierzchołki pokryte są gęstym lasem.

Od czasu do czasu Filip Fogg i brygadjer zamieniali z sobą słów parę.

— Kilka lat temu, — odezwał się pan Cromarty, żywiłbyś w tem miejscu, panie Fogg obawę o opóźnienie, gdyż nie przechodził wtedy pociąg, trzeba było dawniej przenosić się pod palankinem lub na grzbiecie muła jechać, aż do stacji Kandalla, umieszczonej na zdradliwej pochyłości.

— To opóźnienie nie wpłynęłoby bynajmniej na zmianę mego programu, przewidziałem bowiem wszelkie przeszkody i trudności.

— Z tem wszystkiem, — odpowiedział brygadjer, możesz być pan przygotowany na dużą awanturę z powodu tego chłopca.

Passepartout, z nogami owiniętymi w kołdrę spał mocno i nie śnił bynajmniej o tem, że o nim właśnie mówiono.

— Rząd angielski jest bardzo surowy co do takich przestępstw — ciągnął dalej. —

Dbą bardzo o to, żeby szanowano zwyczaje i obrzędy induskie, i jeśliby pana służący został uwięziony...

— A więc, panie brygadjerze — odpowiedział Filip Fogg, — jeśliby był uwięziony a nawet skazany, odcierpiałby swą karę i wróciłby spokojnie do Europy. Nie widzę powodu dla którego to miało opóźniać moją podróż!

Rozmowa się urwała. W nocy, pociąg przebył Ghates, Nassik i nazajutrz 21 października wpadł do kraju zupełnie płaskiego.

Wsie obsiane były wzorowo, widać było minarety, płynęły gdzieś strugi czystej jak kryształ wody, nadając świeżość tej ślicznej miejscowości.

Passepartout zbudzony dziwił się, że przejeżdża tak szybko kraj Indusów.

Wkrótce potem pasażerowie przebywali przez kraj złowrogi, tak często zraszany krwią na cześć bogini Kali.

Niedaleko wznosiły się wspaniałe pagody, sławny Aurungabad, stolica Aureng Zeba.

Tutaj to, w tej okolicy wódz Thugsów, rozłożył się obozem i ogłosił się królem. Ci mordercy, złączeni w nieuchwytny związek, porywali na cześć bogini Śmierci ofiary każdego wieku i stanu, bez wylewania kropli krwi tak, iż niewiadomo było przez długi czas gdzie giną, tembardziej, że nie można było znaleźć ani jednego trupa.

Rząd angielski wykrył w końcu istnienie tego nikczemnego związku i zdawało się, że zmiotł go z ziemi.

Nie udało się to jednak całkowicie, gdyż tajemniczy Indusowie uprawiają te morderstwa potajemnie w dalszym ciągu.

O pół do dwunastej pociąg stanął na stacji w Burhampur i tutaj Passepartout kupił sobie pantofle, zdobne w fałszywe perły, które włożył z wielką dumą i zachwytem.

Podróżni zjedli szybko śniadanie i wyruszyli szybko na stację Assurghur, w pobliżu Suratu. Do tej chwili Passepartout był zupełnie spokojny, z biegiem jednak czasu, gdy ujrzał się w Indjach, kraju, pełnym fantazji, zaczął brać na serjo podróż naokoło świata, sprzymierzył się już najzupełniej ze swym panem i wierzył w prawdziwość zakładu, zaczął nawet przejmować się tem, żeby nie opóźnić się z powrotem.

Czuł się teraz jakby poraz pierwszy zainteresowanym w tej podróży i drżał, wspominając o swej ciekawości w pagodzie, która mogła wtedy wpłynąć na opóźnienie.

I teraz, z natury o wiele mniej flegmatyczny od swego pana, czuł się wciąż zaniepokojony.

Rachował ciągle dni, które już upływały, przeklinał przystanki kolejowe, wygadywał na powolność i oskarżał w du-

chu pana Fogga, że nie obiecał nagrody maszynie, ażeby pędził prędzej.

Nie wiedział zacny chłopak, że to, co było możliwe na parowcu, w żaden sposób nie mogło się zastosować do pociągu.

Ku wieczorowi zbliżono się do gór Sutpur.

Nazajutrz 22-go października Passepartout na zapytanie brygadjera odpowiedział, że jest trzecia rano.

Sir Franciszek odpowiedział mu to samo, co niegdyś Fix, że różnica między czasem w Londynie, a tutejszym jest już kilkugodzinna. Starał się go nakłonić do uregulowania zegarka, ale namowa była bezużyteczna, Passepartout nie chciał zmienić nic w chromometrze, który służył całej jego rodzinie za wskaźnik czasu.

Była to niewinna manja, dla nikogo wszak nieszkodliwa.

O godzinie ósmej rano, przed stacją Rothalem, pociąg stanął pośród pustyni, z kilku zaledwie chatkami.

Konduktor stanął przed linją wagonów mówiąc:

— Pasażerowie wysiadają tutaj!

Filip Fogg spojrzał na brygadjera, który zdawał się nie rozumieć tego przystanku wśród obszernego i pustego pola.

Passepartout niewiele zdziwiony, wyszedł z wagonu i powrócił natychmiast, wołając:

— Proszę pana, niema już tu szyn kolejowych!

— Co mówisz? — spytał się Fogg.

— Mówię, że niema już tu kolei!

Brygadjer i Filip Fogg wyszli natychmiast z wagonu, bez pośpiechu. Obaj zwrócili się do konduktora z zapytaniem:

— Gdzie jesteśmy?

— W Kolby, — odpowiedział konduktor.

— Czy zatrzymamy się tutaj?

— Naturalnie. Kolej tu nieskończona.

— Jakto? Niewykończona?

— Tak, niewykończona. Trzeba jeszcze ułożyć szyny na przestrzeni pięćdziesięciu mil.

— Pisma oznajmiały wykończenie całkowite tej drogi.

— Pisma omyliły czytelników. To nieprawda.

— A sprzedaliście przecież bilety z Bombayu do Kalkuty! — zawołał wzburzony brygadjer.

— Daliśmy bilety, ale podróżni wiedzą dobrze, że trzeba tu zwykle wysiadać, aż do Allahabadu.

Sir Franciszek był wściekły. Passepartout udusiłby z radością konduktora. Nie

mógł już patrzeć na swego pana, tak mu go było żal.

— Panie brygadjerze, — rzekł spokojnie Filip Fogg, pójdziemy postarać się w jakikolwiek sposób przebyć drogę do Allahabadu.

— Panie Fogg, — odezwał brygadjer, — idzie tu o dużą zwłokę...

-- Tak, ale to było przewidziane.

— Jakto? wiedział pan, że droga...

— Nie wiedziałem, ale wiedziałem, że na drodze mojej będą przeszkody. Mam dwa dni więcej, niż potrzeba.

Znajdzie się powóz lub barka jakaś na pewno, dojedziemy więc do Kalkuty.

Nie było już czego odpowiadać, na tak spokojny argument pana Fogg.

Wielu podróżnych wiedziało już przedtem, zanim wyruszyli w drogę, o tym przystanku dla innych niespodziewanym, zamówili więc uprzednio powozy, wozy i tp..

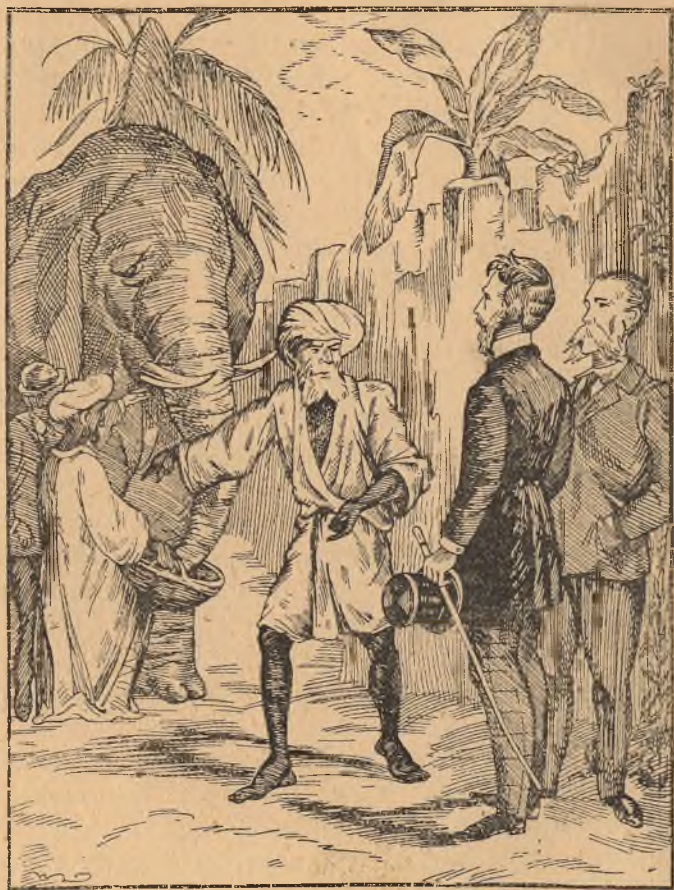
Ale pan Fogg i brygadjer, po długich poszukiwaniach nie znaleźli niczego.

— Pójdę pieszo, — rzekł pan Fogg.

Passepartout zrobił gest niezadowolony, spojrzawszy na swe ozdobne bambosze i odpowiedział po pewnem wahaniu:

— Proszę pana, zdaje mi się, że znalazłem sposób wyruszenia w drogę.

— Jaki?



— Na słoniu! Weźmiemy go od Indusa.

W pięć minut potem Filip Fogg, Passepartout i brygadjer przybyli do chatki Indusa, otoczonej ogromnemi żelaznemi kratami.

W chatce tej znajdował się Indus i słoń. Na zapytanie, czy da swego słonia do jazdy, zaprowadził nas do ogrodzenia, za którem stał słoń.

Znaleźliśmy się więc przed ogromnem zwierzęciem nawpół domowem, które właściciel wychował nie dla otrzymania za nie wielkiej sumy, ale na zwierzę wojenne.

W tym celu zaczął to dobre i łagodne stworzenie pobudzać naumyślnie do wściekłości, żywiąc je przez trzy miesiące tylko cukrem i masłem.

Zdawałoby się, że ten sposób żywienia nie powinienby wpływać na rozwścieczenie słonia, a jednak to był najlepszy środek na pobudzenie do złości.

Szczęściem dla pana Fogg'a i jego towarzyszy słoń rozpoczął dopiero swe wychowanie wojenne.

Kiuni, było to imię słonia, był w stanie przez długi czas maszerować bardzo szybko i pan Fogg postanowił go użyć do jazdy. Ale słonie są bardzo drogie w Indjach i co raz to drożeją. Samcy, którzy jedynie mogą być przydatnymi do cyrku, są bar-

dzo poszukiwani, a zdobyć ich można za pomocą polowania. Rzadkość urodzin samców sprawia to, że mało kto je chce sprzedać.

I tutaj zdarzyło się to samo. Indus, zapytany przez pana Fogga, czy sprzeda mu słonia, odpowiedział przecząco.

Fogg nie ustępował i ofiarował za zwierzę wysoką sumę, dziesięć funtów tj. 250 franków. Nie chciał. Dwadzieścia funtów — Jeszcze się nie godził. Czterdzieści — Znowu to samo.

Passepartout drżał ze złości, widząc to ciągłe podbijanie ceny przez swego pana, ale Indus nie dał się skusić.

Suma była jednak bardzo znaczna. Namieniając, że droga do Allahabadu wynosiła piętnaście godzin, słon zarobiłby dla swego pana, o ileby ten zechciał go chociażby tylko wynająć, 15.000 franków.

Filip Fogg postanowił podnieść cenę do wysokości 25-ciu tysięcy franków.

Indus jeszcze się nie godził. Chytry domyślał się, że może dużo więcej jeszcze uzyskać.

Brygadjer wziął pana Fogga na stronę i radził mu nie dawać już więcej, ale ten wytłomaczył mu, że wszystko co robi, robi z rozmysłem.

Pan Fogg powrócił tedy do targu z Indusem, którego małe oczki błyszczały zjadliwie, widząc, że jest panem położenia.

Wkońcu pan Fogg ofiarował 50 tysięcy franków za słonia, a Passepartout, zwykle czerwony, zbladł ze wzruszenia.

Na tę cenę Indus się zgodził.

— Na moje pantofle! — zawołał Passepartout — oto co się nazywa dobra cena za słoniowe mięso!

Po załatwieniu interesu, szło już tylko o przewodnika. To już było o wiele łatwiejsze.

Pewien młody Pars o inteligentnym wyglądzie, zgodził się na to chętnie.

Pan Fogg obiecał mu dobre wynagrodzenie i postanowiono wyruszyć niezwłocznie.

Pars osiodłał słonia natychmiast, Filip Fogg wypłacił Indusowi za słonia pieniędzmi z worka służącego.

Passepartout zdawało się, że mu wyciągają wnętrzności, poczem pan Fogg zaofiarował brygadjerowi miejsce na słoniu, na co ten zgodził się z wdzięcznością. Jeden więcej podróżny nie znaczył dużo dla olbrzymiego zwierzęcia.

Żywność zakupiono w Kolby, zajęto miejsca w koszach, umieszczonych po bokach słonia, Pars uczepił się szyi słonia i o godzinie 9-ej zwierzę unosiło podróżnych w stronę Kalkuty.

ROZDZIAŁ XII.

Procesja Indusów, wiodących na śmierć żonę zmarłego księcia. Pan Fogg chce ją ocalić.

Przewodnik wybrał drogę koło szyn, zakładanych na kolej, poczem skręcił na kręte drożyny, jadąc o wiele szybciej niż zwykle i starając się omijać wszelkie przeszkody.

Kierując się przez lasy i boczne ścieżki. Pars zyskiwał dwadzieścia mil z okładem, co leżało wszak w interesie pana Fogg.

Filip Fogg i brygadjer, zanurzeni po szyję w koszach, podskakiwali wciąż, uderzając się wskutek niezwykle szybkiej jazdy o brzegi swych przygodnych powozików.

Nie gniewali się o to, wołąc znosić niewygody, aby być na czas w Kalkucie.

Co do Passepartout, to umieszczony na grzbiecie słonia i narażony na uderzenia od skoków gwałtownych zwierzęcia, czuł się zupełnie dobrze, milcząc wciąż, a to z obawy, aby skok słonia nie obciął mu poruszającego się przy rozmowie języka.

Dzielny chłopak, rzucany wciąż w obie przeciwnie strony, wyglądał na clowna cyrkowego, wykonującego koziółki.

Żartował, śmiał się wciąż ze swych bujań i od czasu do czasu wyciągał z worka kawa-

łek cukru, aby podać słoniowi, który nie przerywając swego galopu, wciągał słodycz trąbą.

Po dwóch godzinach jazdy, przewodnik zatrzymał słonia i dał mu godzinę wypoczynku.

Zwierzę pożerało łapczywie gałęzie i krzaczki, nasycając się i wypoczywając jednocześnie.

Pan brygadjer Cromarty nie gniewał się za tę zwłokę, tak był znużony, pan Fogg zaś zdawał się tak rzeźkim, jakby dopiero wyszedł z łóżka.

— Ależ on jest z żelaza! — odezwał się do Passepartout. —

— O, tak, z żelaza! — odpowiedział słyszający, przygotowując śniadanie.

W południe przewodnik dał znak odjazdu.

Kraj przybrał wkrótce wygląd dziki.

Duże lasy zastąpiły puste obszerne płaszczyzny, najeżone gdzieniegdzie krzaczkami i usiane trawą rzadką i suchą.

Miejsce to mało zwiedzane przez podróżników, zamieszkane było przez fanatyczne plemię, zagorzałe w swych najokrutniejszych praktykach religijnych.

Rząd angielski nie mógł tu nic zmienić, gdyż indusi mieli swoich zarządców, tak zwa-

nych rajów, którzy byli książęcego rodu i rządzili całkowicie swem państwem.

Kilkakrotnie podczas podróży, spostrzegano dzikich indjan, którzy okazywali złość straszącą na widok pędzącego słonia.

Pars omijał ich wciąż, wiedząc, że spotkanie z tymi ludźmi nie wróżyło nic nikomu dobrego.

Zwierząt nie widziano tutaj zupełnie, załedwie kilka małp, uciekających z piskiem i pociesznemi minami.

Pewna myśl między innemi niepokoiła Passepartout. Co zrobi pan Fogg ze słoniem, gdy przybędą do Allahabadu? Czy zabierze go z sobą? To niemożliwe! Czy sprzeda, czy też wypuści na swobodę?

A może pan Fogg zrobi mu ze słonia podarek? Byłby tem bardzo zakłopotany...

O godzinie ósmej wieczorem łańcuch gór Vindhias był przebyty i pasażerowie przeszli pieszo przez ruiny jakichś budowli.

Przebyli w tym dniu dużą przestrzeń, bo aż dwadzieścia pięć mil, pozostało drugie tyle do przebycia.

Noc była bardzo chłodna. Na środku placu Pars rozpałił ogień z suchych gałęzi, obiad zaś składał się z produktów, zakupionych w miasteczku.

Podróżni zajadali z wielkim apetytem, potem ułożyli się do snu.

W chwilę potem słychać było mocne chrapanie zaspanych pasażerów.

Żaden wypadek nie zakłócił spokoju nocy.

Ryki pantery i lamparta czasami budziły śpiących, ale tylko na chwilę

O godzinie szóstej rano obudzili się wszyscy.

Wyruszono w drogę. Tego jeszcze wieczoru przewodnik miał nadzieję dojechać do celu.

Koło południa przejeżdżali zdala od rzeki Ganges, świętego miejsca Indusów.

Już dwanaście mil oddzielało ich od Allahabadu.

Zatrzymano się pod rozłożystem drzewem bananowem, którego owoce, tak samo pożywne i zdrowe, jak i chleb, zajadali podróżni ze smakiem.

O godzinie drugiej wyjechali pod osłoną gęstego lasu, który ciągnął się mil kilka bez przerwy.

Przewodnik wołał wciąż trzymać się zdala od siedzib ludzkich i do tej pory rzeczywiście nie spotkała go żadna przygoda.

Podróż, dobiegająca już końca, zdawała się być zupełnie szczęśliwą, gdy naraz słoń

zaczął okazywać niepokój i zatrzymywał się co chwila.

Była wtedy godzina czwarta popołudniu.

— Co to takiego? — spytał brygadjer, podnosząc głowę ze swego kosza.

— Nie wiem, panie oficerze, — odpowiedział przewodnik, — zaraz się może dowiemy.

Passepartout nasłuchiwał i wypatrywał zarazem, pan Fogg wyczekiwał cierpliwie rozwiązania zagadki.

W kilka minut potem dał się słyszeć silny pomruk. Zdawało się, że to, jakby oddalony koncert instrumentów miedzianych. Pars zeskoczył na ziemię, uwiązał słonia do drzewa i zagłębił się w krzew nad brzegiem rosnący.

Wkrótce potem wrócił, mówiąc:

— Pocesja braminów idzie po naszej stronie. Jeśli to możliwe, usuńmy się, żeby nas nie spostrzeżono.

Przewodnik odwiązał słonia i uprowadził go w gęstwinę, zalecając podróżnym, żeby nie schodzili na ziemię.

Sam zaś trzymał się w takiej pozycji, żeby, gdy tego zajdzie potrzeba, czemprowadziej uciekać. Ale był pewnym, że gromada wyminie ich, nie spostrzegłszy, gdyż gąszcz w jakim się kryli zasłaniał ich zupełnie przed oczyma ludzkiemi.

Hałas coraz się zbliżał. Monotonne śpiewy mieszały się z tonami instrumentów.

Wkrótce orszak ukazał się pod drzewami o jakieś pięćdziesiąt kroków od kryjących się podróżnych, którzy doskonale mogli się przyrzec tej religijnej ceremonii.

W pierwszym szeregu szli kapłani, ubrani w nitry i długie szaty.

Otoczeni byli mężczyznami, kobietami, i dziećmi, które śpiewały pewnego rodzaju psalm żałobny, przerywany uderzeniami bębnów i cymbałów.

Za nimi w wozie z ogromnemi kołami mieściła się ohydna statua, ciągniona przez parę zebu, ubranych wspaniale.

Statua ta miała cztery ręce, ciało umalowane na czerwono, oczy dzikie, włosy powichrzone, język wywieszony, usta odwiniete. Na szyi miała naszyjnik z głów martwych, na biodrach pas z odrąbanych rąk.

Brygadjer rozpoznał tę statwę.

— To bogini Kali, — wyszeptał, — bogini miłości i śmierci.

— Śmierci, przyznaję, ale nie miłości, nigdy! — powiedział Passepartout. — Cóż to za wstrętna kobieta!

Pars dał mu znak, żeby milczał.

Koło statuy kotłowało się od tłumy. Zebrał się tam fakirzy, okryci płachtami, wy-

bladli, gotowi poświęcić każdą kroplę krwi tej bogini, manjacy rzucający się pod koła wozu Jaggernauta.

Za nimi kilku braminów w uroczystem milczeniu wlokło jakąś kobietę, która zaledwie się trzymała na nogach.

Kobieta ta była młoda i biała jak Europejka. Głowa jej, szyja, ramiona, uszy, ręce, nogi, pokryte były klejnotami, naszyjnikami, branzoletami, kolczykami i pierścieniami. Miała na sobie tunikę, lamowaną złotem, pokrytą muślinem leciutkim, uwydatniającym jej kształtną kibić.

Za kobietą tą — kontrast uderzający w oczy — strażnicy, uzbrojeni w pałasze gołe bez pochew, i długie pistolety damasceńskie, nieśli trupa na palankinie.

Było to ciało starca, ustrojonego w kosztowny ubiór rajaha. Miał on na sobie, jak i za życia turban haftowany perłami, pas djamentowy i broń księcia indyjskiego.

Dalej postępowali murzyni i nieprzeliczona gromada fanatyków, których krzyk zagłuszał nieraz brzęki i dźwięki hałaśliwych bardzo instrumentów.

Brygadjer patrzył zasmucony na ten orszak i rzekł: — Ofiara!

Pars potwierdził skinieniem głowy i położył palec na ustach.

Długi orszak przeciągnął pod drzewami i wkrótce zniknął w głębi lasu. Stopniowo śpiewy ucichły. Czasem dał się jeszcze słyszeć jakiś krzyk daleki, a potem zaległa zupełna cisza.

Filip Fogg słyszał to, co mówił brygadjer i, jak tylko znikła procesja, spytał:

— Co było to takiego? Co to znaczy?

— Panie Fogg, — odpowiedział brygadjer, — jest to ofiara ludzka, ale ofiara dobrowolna. Ta kobieta, którą pan widział będzie jutro spalona z pierwszym brzaskiem dnia.

— Ach! łotry! — zawołał Passepartout, nie mogąc powstrzymać oburzenia.

— A ten trup? — spytał Fogg.

— To jest jej mąż, książę rajah z Bundelkundu.

— Jakto? — powiedział Fogg, podczas gdy głos jego nie wyjawiał wzruszenia, — te barbarzyńskie zwyczaje istnieją jeszcze w Indjach? A Anglicy czyż nie potrafią temu przeszkodzić?

— W wielu miejscowościach już zanikły, — odrzekł brygadjer, — ale nie mamy możliwości wpływać na te dzikie okolice, a w szczególności na terytorjum Bundelkundu.

— Nieszczęśliwa! — szeptał do siebie Passepartout, — Spalona żywcem!

— Tak, — powiedział brygadjer, — spalona, a gdyby do tego nie doszło, byłaby sto-kroć nieszczęśliwszą! Obcięto by jej włosy, karmiono by garstką ryżu, odpychanoby od siebie, patrzano by na nią, jak na niepotrzebną na świecie i umarłaby wkońcu gdzieś, jak pies parszywy.

Myśl o takiej przyszłości skłania niejedną do tej ofiary. Nie pochodzi to z miłości dla zmarłego, lecz ze strachu przed życiem w pogardzie.

Bywa czasem, że ofiara jest naprawdę dobrowolną i trzeba gwałtownego zarządzenia, żeby jej przeszkodzić.

Kilka lat temu, naprzykład, kiedy mieszkałem w Bombaju, pewna młoda dama prosiła tamtejszego gubernatora, aby pozwolono jej być spaloną wraz ze zmarłym mężem.

Nie pozwolono i cóż zrobiła? Otóż opuściła miasto, ukryła się u jakiegoś rajaha indyjskiego i tam spełniła ofiarę.

Podczas tego opowiadania przewodnik pochylił głowę i rzekł po skończeniu tej rozmowy.

— Ofiara, która ma mieć miejsce jutro rano, nie jest dobrowolną.

— Skąd pan to wie?

— Jest to historia znana w całym Bundelkundzie, — odpowiedział przewodnik.

— A jednak ta nieszczęśliwa zdawała się nie stawiać żadnego oporu,— rzekł brygadjer.

— Odurzono ją dymem kadzideł i opjum.

— Ale dokąd ją uprowadzono?

— Do pagody w Pilaji, o dwie mile stąd.

Tam spędzi ona noc, oczekując na godzinę ofiary.

— A ofiara ta kiedy będzie miała miejsce?

— Jutro z pierwszym brzaskiem dnia.

Po tej odpowiedzi przewodnik wyprowadził słonia z gąszcza leśnego i wskoczył na szyję zwierzęcia,

Ale w chwili, gdy miał na niego gwizdnąć, pan Fogg zatrzymał go i rzekł do brygadjera?

— A gdybyśmy tak uratowali tę kobietę?

— Ratować tę kobietę panie Fogg!... wykrzyknął brygadjer.

— Mam jeszcze dwanaście godzin do rozporządzenia. Mogę je na to poświęcić.

— Dobrze! Ależ pan jest człowiekiem wielkiego serca! — odpowiedział brygadjer.

— Czasami,—odpowiedział spokojnie, — jeśli mam czas.

ROZDZIAŁ XIII.

Uratowanie od śmierci na stosie Andy przez dzielnego Passepartout.

Zamiar był szalony, najeżony przeszkodami, prawie nie do wykonania.

Pan Fogg narażał swe życie, a co najmniej swoją wolność, ale nie wahał się ani przez chwilę.

Znalazł przytem w panu Franciszku Cromarty chętnego sprzymierzeńca.

Co do Passepartout, był on gotów, można nim było rozporządzać. Myśl pana unosiła go i zachwycała.

Poczuł serce pod zimną z pozoru powłoką. Zaczął kochać Filipa Foggą.

Pozostawał przewodnik, o którym nie wiadano było, jak się na to zapatruje, czy nie weźmie strony Indusów? W razie niechęci do wyratowania nieszczęśliwej, czy okaże się przynajmniej neutralnym?

Brygadjer postawił szczere zapytanie.—

— Mój oficerze, — odpowiedział, jestem Pars, kobieta ta pochodzi też z plemienia Parsów. Proszę mną rozporządzać.

— Dobrze, przewodniku, — odpowiedział pan Fogg.

— Uprzedzam jednak, — dodał, — że jeśli będziemy wzięci, czeka nas nietylko utrata życia, ale i straszliwe tortury. Zastanówcie się więc, panowie.

— Wiemy o tem, — odrzekł pan Fogg, — Myślę, że musimy czekać do nocy.

— Tak i ja sędzę, — odpowiedział mu przewodnik.

Dzielny ten Indus dał pewne wyjaśnienia co do ofiary. Była to Induska wielkiej piękności, z plemienia Parsów, córka bogatych kupców z Bombayu.

W mieście tem otrzymała wykształcenie angielskie, i zarówno obejściem swem, jak nauką dorównywała Europejkom. Nazywała się Anda.

Jako sierota została wydana wbrew swej woli za starego rajahaw Bundelkundzie. W trzy miesiące po ślubie została wdową.

Wiedząc, jaki ją los czeka, uciekła, ale złapano ją i krewni zmarłego, którzy mieli w tem dla siebie wyrachowanie, kazali złożyć jej ofiarę z siebie, aby zagarnąć po zmarłym bogactwa. Opowiadanie to obudziło w panu Fogg i jego towarzyszach jeszcze większą chęć wyrwania nieszczęśliwej z rąk fanatyków.

Postanowiono, że przewodnik skieruje słońca ku pagodzie i to jak najbliżej.

O pięćse tników od pagody usadowiła się cała bohaterska gromadka i niespostrzeżona, wsłuchiwała się w okrzyki i wrzaski fanatyków. Przewodnik wiedział z doświadczenia, że młoda kobieta uwięziona została napewno w pagodzie, ale zbliżyć się i porwać ją stamtąd było prawdziwem niepodobieństwem.

A jednak porwanie musiało się odbyć tej nocy, a nie w chwili, gdy ofiara będzie prowadzona na stos.

Pan Fogg i towarzysze oczekiwali nocy. Jak tylko zmierzchno, koło szóstej wieczorem, postanowili obejść wokoło pagodę. Ostatnie wrzaski fakirów umilkły.

Trzymając się swego zwyczaju, Indjanie pograżyli się picciu płynnego opjum, połączonego z mieszaniną odurzającego chmielu; skorzystać więc z tego postanowili nasi podróżni i wślizgnąć się do pagody.

Pars, w towarzystwie pana Fogg, Franciszka Cromarty i Passepartout udali się po cichu w głąb lasu.

Po dziesięciu minutach zakradania się przybyli nad brzeg małej rzeczki i tutaj spostrzegli mały skraj lasu, w pośrodku którego wznosił się stos drzewa. Stos ten ułożony był z najprzedniejszego drzewa i nasycony wonnym olejkiem.

Na najwyższem miejscu leżało zabalsamowane ciało starego rajaha, które miało być spalone razem z wdową.

O sto kroków od tego stosu wznosiła się pagoda, której szczyty sięgały wierzchołków drzew.

— Chodźmy! — rzekł przewodnik cichym głosem. I podwajając ostrożność, wraz ze swy-

mi towarzyszami wślizgnął się pocichu między trawy.

Niezakłócona cisza panowała wokół i tylko szmer wietrzyka kołysał chwilami gałęzie drzew.

Wkrótce przewodnik zatrzymał się przed samą pagodą.

Kilka pochodni, wetkniętych w ziemię, oświecało to miejsce. Grunt zajęty był przez śpiących, odurzonych pijaństwem.

Wyglądało to na pole bojowe, usłane martwemi ciałami.

Mężczyźni, kobiety, dzieci, wszystko to spało razem. Niektórzy pijacy wałęsali się jeszcze, kołysząc się na dwie strony. Na przedzie widniała świątynia między masą drzew.

Ale ku wielkiemu zmartwieniu przewodnika, część straży rajahą czuwała przy drzwiach, zaś część przechadzała się z gołemi pałaszami. We wnętrzu czuwali kapłani.

Pars nie szedł już dalej. Widział niemożebność wejścia siłą do świątyni i wyprowadził swych towarzyszy ku tyłowi pagody. Pan Fogg i brygadjer pojęli, że nic się nie da zrobić tu gwałtem.

Zatrzymali się i zaczęli szeptać między sobą.

— Poczekajmy — rzekł brygadjer — dopiero ósma i jest nadzieja, że ta straż również uśnie.

— Tak, to możliwe, — rzekł przewodnik. Usiedli więc wszyscy u stóp drzewa i oczekiwali.

Czas dłużyl się im ogromnie, przewodnik często opuszczał placówkę i szedł patrzeć na skraj lasu.

Straż wciąż czuwała, a słabe światelko tliło się w głębi pagody.

Czekano tak do północy. Położenie nie zmieniał się zupełnie. Nie można było liczyć na sen straży, widocznie tej ostatniej nie pozwalano na upicie się.

Trzeba było radzić sobie inaczej i postanowiono wywiercić otwór w ścianie pagody. Pozostała tylko troska o to, czy i kapłani w głębi świątyni czuwają jak straż na zewnątrz.

Po ostatecznej rozmowie pan Fogg i towarzysze ruszyli się z miejsca i poszli ku ścianie pagody.

Koło dwunastej przybyli do stóp murów bez natknięcia się na kogobądź ze straży, wogóle z tej strony, którą szli, nie widać było nikogo.

Noc była bardzo ciemna. Księżyc w ostatniej kwadrze opuszczał horyzont, ocieniony chmurami. Wysokość drzew powiększała jeszcze ciemność.

Ale nie wystarczało dosięgnąć stóp murów, trzeba było zrobić otwór.

Do tej czynności mieli wszyscy czterej tylko noże, miękkość jednak muru nadawała się w zupełności do tych słabych narzędzi.

Pierwszy pokład został zerwany, zabrano się do dalszego, zachowując ogromną ostrożność, aby nie zrobić hałasu.

Pars z jednej strony, Passepartout z drugiej pracowali gorliwie nad wywierceniem dziury, przez którą mogliby się dostać do wnętrza. Praca postępowała szybko, gdy naraz krzyk rozdarł powietrze i prawie jednocześnie inne głosy odpowiedziały z zewnątrz.

Porzucono więc pracę natychmiast. Może właśnie posłyszano owo skrobanie i dano znać; na alarm zaś odpowiadano jednogłośnie.

Roztropność kazała uciekać i uczyniono to natychmiast.

Skryto się znów w cieniu lasu, czekając, że alarm ścichnie w nadziei, że znów do roboty się zabiorą.

Ale straż otoczyła całą pagodę, a nawet weszła na jej wierzchołek — myśleć więc o dokończeniu roboty było niepodobieństwem.

Trudno opisać przygnębienie tych czworga ludzi, zahamowanych w robocie.

Teraz, kiedy niepodobieństwem było wyratować ofiarę w ten sposób, jak zdołają ocalić tę nieszczęśliwą?

Brygadjer zaciskał pięści, Passepartout był wściekły, a przewodnik wstrzymywał się z trudnością od przekleństwa.

Jeden tylko Fogg zdawał się być obojętnym na przeciwności.

— Nic innego nam nie pozostaje, jak odejść — rzekł cicho brygadjer.

— Tak, trzeba jechać, — dodał przewodnik.

— Proszę się wstrzymać wystarczy mi czasu na to, żebym był jutro przed południem w Allahabad.

— Ale czego się pan spodziewa? — spytał brygadjer? — Za kilka godzin dzień zaświta, a wtedy...

— Chwila sprzyjająca może nastąpić właśnie w ostatnim akcie sceny...

Brygadjer chciał wyczytać z oczu Fogg'a, co myślał, jakie miał zamiary...

Na co liczył ten chłodny Anglik? Czyż chciał w chwili składania ofiary, zbliżyć się do młodej kobiety i porwać ją otwarcie?

Byłoby to szaleństwem i trudno było pomyśleć, że człowiek ten zdolny byłby do czegoś podobnego?

— Naturalnie wszyscy zgodzili się czekać aż do zakończenia tej straszliwej sceny.

Przeniesiono się na inny punkt obserwacyjny, gdzie ukryci za bukieciem drzew mogli widzieć uśpione strażę i stos z nieboszczykiem.

Passepartout, ukryty za gałęzmi drzew, coś do siebie mówił, jakby naradzał się sam z sobą, wreszcie mruknął:

— A dlaczegożby nie? Próba to ryzykowna, ale a nuż się uda?

Zbliżył się do stosu, oddzielonego od widzów przez drzewa, i czekał.

Godziny upływały szybko i wkrótce chmury rozjaśniły się i wypłynął na niebo pierwszy brzask. Cienie nocy jednak nie ustąpiły.

Była to złowroga chwila dla ofiary...

Zrobił się ruch w tem kłębowisku ciał ludzkich, zmożonych snem i odurzonych piciem.

Rozległy się uderzenia bębnow. Śpiew i krzyki rozbrzmiewały na miejscu ciszy. Przyszła godzina, w której miała zginąć nieszczęsna ofiara fanatyzmu. Drzwi pagody otwarły się narozcież. Silne światło buchnęło z wnętrza.

Fogg i jego towarzysze mogli ujrzeć wyraźnie jasno oświetloną ofiarę, którą wlekli kapłani.

Była odurzona z powodu opium, a jednak instynkt samozachowawczy pchała ją do ucieczki i chwilami chciała się wydrzeć z rąk katów.

Serce brygadjera biło mocno i w porywie współczucia i chęci ratunku dla tej nie-

szczęsnej, schwycił konwulsyjnie za rękę Filipa Fogg'a i w ręce tej uczuł nóż.

W tej chwili tłum się rozstąpił. Zaczęto kadzić tumanami upajającego dymu i odurzona tem ofiara zdawała się już nic nie czuć i niczemu nie oponować. Szła jakby uśpiona i bezwolna, tłumy fakirów otaczały ją, a okrzyki i gwar ludu mieszały się z uderzeniami bębnow i wrzaskliwemi tonami piszczałek.

Fanatyzm ogarnął tych bezrozumnych i lodem opancerzył ich serca.

Nie żałowali cudnej, młodej kobiety, jak kwiat zawcześnie więdnącej, nie odezwał się ani jeden głos przeciw temu barbarzyństwu, choć byli między tłumem i tacy, którzy mieli żony, córki i dzieci w wieku tej nieszczęsnej ofiary...

Dzikie oczy wypatrywały sceny śmierci, nienasycone okrucieństwo pożądało widoku tak rzadkiej a tak ciekawej zbrodni...

Zaś ona nie wiedziała już o niczem, nie czuła nic, szła po to aby wiosnę życia oddać w ofierze fanatyzmowi...

Filip Fogg rzucił się wraz z towarzyszami do ostatnich rzędów ciekawego tłumu. W dwie minuty potem byli już nad brzegiem rzeki i zatrzymali się mniej więcej o pięćdziesiąt kroków od stosu, na którym leżał trup starca.

W półcieniu spostrzegli bezwładną ofiarę, leżącą obok trupa męża.

Przyłożono pochodnię do stosu nasyczonego olejkami i natychmiast zaczął się on palić.

Tejże chwili brygadjer i przewodnik wstrzymali Fogga, który w szlachetnym szale, kierował się ku stosowi...

Ale Filip Fogg odepchnął ich i chciał pędzić na ratunek, gdy naraz scena wzięła inny obrót.

Podniósł się krzyk przerażenia. Cały tłum padł na ziemię ze strachu.

Stary rajah nie był umarłym. Podniósł się jak widmo, wziął młodą swą żonę w objęcia, zeszedł ze stosu straszliwy w otoczeniu buchających płomieni. Fakirzy, straż, kapłani, zdjęci panicznym strachem, leżeli twarzą do ziemi, nie śmiąc oczu podnieść na podobny cud.

Ofiara nie ciężyla widocznie, bo postać fantastyczna unosząca w płomieniach nieszczęśliwą z ogromną szybkością zesza ze stosu i jak dziecko uniosła ponad głową uśpioną kobietę.

Podróżni nasi stanęli w miejscu osłupieni. Pars pochylił głowę. Zmartwychwstały przypadł do miejsca, gdzie stał Fogg i rzekł głosem wyraźnym:

— Uciekajmy...

Było Passepartout, który podpełzł do stosu podczas, gdy dym go otoczył. Było Passe-

partout, który, korzystając z głębokiej ciemności, wyrwał młodą kobietę z objęć śmierci! Był to Passepartout, który odegrał swą rolę z odwagą, nie zważając na olbrzymi tłum, a tylko licząc na przestrach ogólny, gdy to zrobi!

W minutę potem wszyscy czterej znikli z lasu, unoszeni szalonym pędem słonia. Ale krzyki, nawoływania a nawet kula, która przebiła kapelusz Fogga, oznajmiły im, że podstęp został wykryty.

Po pierwszym bowiem przestrachu zauważono, że trup starca leżał na stosie, i domyślili się, że było to tylko porwanie.

Rzucono się za uciekającymi w las. Straż puściła się w pogoń, ale po zamianie strzałów uciekła, a nasi podróżni umknęli bezpiecznie wraz z uratowaną kobietą.

ROZDZIAŁ XIV.

Ucieczka od Indusów, wyjazd do Hong Kongo.

Zuchwałe porwanie udało się. W godzinę po tym wypadku brygadjer ścisnął dłoń nieustraszonego chłopca.

Pan Fogg powiedział mu tylko: Dobrze—co w ustach tego dżentelmena starczyło za największą pochwałę.

Passepartout odpowiadał na wszystko, że cała zasługa należy się panu Fogg, który nie chciał odjeżdżać, dopóki się tragedia nie zakończy.

Dłaniego cała przygoda to zabawką i śmiał się wciąż na myśl, że był przez kilka minut, on, ex-cyrkowiec, ex-sierżant, mężem pięknej kobiety, żony zabalsamowanego rajaha!

Co do młodej Indjanki, to nie wiedziała, co się z nią dzieje.

Owinięta w kołdry podróżne, spoczywała, na miękkich kocach, na słońcu.

Tymczasem słoń, prowadzony wprawną ręką Parsa, biegł szybko po ciemnym lesie. W godzinę po opuszczeniu pagody wszedł na obszerną płaszczynę.

O godzinie siódmej postanowiono odpocząć. Młoda kobieta była wciąż jeszcze odurzona. Przewodnik dał jej wypić parę kropel wody, ale odrętwiałość miała dopiero po jakimś czasie ustąpić.

Brygadjer, który znał skutki, jakie wywiera opium i dym chmielu, nie bał się o życie kobiety i uspokajał co do tego towarzyszy.

Znając obyczaje tutejsze, zwrócił on uwagę Fogg, że jeśli pani Anda zostanie w Indjach, wpadnie napewno znów w ręce ohydnych katów.

W Bombaju, Kalkucie czy w Madrasie, pomimo zakazu policji angielskiej porwą ją na pewno i spalą. Jedyńm dla niej ratunkiem byłoby opuszczenie Indji.

Filip Fogg zapewnił, że zrobi to, co będzie uważał za najbezpieczniejsze dla pani Andy, a najpewniej umieści ją w Hong Kongu.

O godzinie dziesiątej, przewodnik oznajmił stację Allahabad. Tutaj kolej żelazna miała zabrać podróżnych i zawieźć ich do Kalkuty.

Uratowana została umieszczona w pokoju hotelowym. Passepartout wysłano po różne rzeczy, jak suknię, szal, futra etc.

Passepartout pobiegł czemprowadzej po zakupy.

Allahabad jest miastem najbardziej czczonem przez Indusów, ma w sobie dwie święte rzeki: Ganges i Jumnę. Do tych to rzek zjeżdżają się podróżni i świętobliwi pielgrzymi.

Według legendy Ramajany, Ganges bierze swój początek w niebie, gdzie dzięki Brahmi spuszcza się na ziemię.

Miasto to, rozwijające tylko fanatyzm wśród Indusów, nie posiadało żadnego odpowiedniego sklepu i dopiero po wielu poszukiwaniach udało się Passepartout wyszukać kupca, u którego nabył suknię ze szkockiego jedwabiu, obszerny płaszcz i pe-

lerynę futrzaną z nurków, za którą bez wahania zapłacił 1875 franków.

Potem tryumfujący wrócił do swego pana.

Pani Anda zaczęła już wracać do przytomności. Odurzenie minęło i piękne jej oczy, tak pełne słodczy, właściwej Indjankom, zaczęły patrzeć przytomnie.

Wdowa po rajahu indyjskim była niezwyklej urody, można było o niej powiedzieć tak, jak poeta Usaf Uddaul mówił i pisał w królowej Ahmenagara.

„Jej lśniące włosy, równo na dwie połowy rozdzielone, otaczały rysy o doskonałej harmonji delikatne i białe, pełne niezwyklej świeżości i wdzięku.

Jej brwi hebanowe wyglądały jak luk Kamy, bożka miłości, a pod jej rzęsami długimi w czarnej źrenicy wilgotnych oczu przebijały się jak w źródłach świętych Himalayu blaski najczystszej niebiańskiego światła.

Jej zęby drobne i białe połyskiwały wśród warg uśmiechniętych, jak krople rosy w łonie napółrozwinętego kielicha kwiatu.

Jej drobne uszy, rączki, i małe nóżki, jak kwiat lotosu, błyszczały blaskiem najpiękniejszych pereł Ceylonu, najdroższych diamentów Golgondy.

Jej cienka i delikatna kibić, którą można by objąć jedną ręką, w obcisłej sukni zdaje się być modelem ze srebra, uczynionym ręką bożą Vikwakarma“.

Ale i bez tego określenia i porównania, wdowa po rajahu była cudną kobietą nawskroś europejską.

Mówiła doskonale po angielsku, wystawiała się dobrze i znać było, że jest wysoce wykształconą.

Tymczasem pociąg łada chwila miał odejść. Pars oczekiwał na zapłatę.

Filip Fogg wypłacił mu umówioną naprzód opłatę, nie dając ani grosza za dobrą jazdę i pośpiech.

Zdziwiło to Passepartout, przywykłego do hojności swego pana i wiedzącego, co zawdzięczał pan Fogg Parsowi za przywiązanie i gorliwość.

Pars rzeczywiście narażał swe życie przy pagodzie i nawet, gdyby uciekł, Indusi prześladowaliby go wciąż i mścili się za zdradę.

Teraz pozostała tylko do załatwienia sprawa ze słoniem. Co zrobić z tym słoniem, tak drogo kupionym? Ale Filip Fogg już dawno powziął decyzję.

— Parsie, — rzekł do przewodnika, — byłeś gorliwy i oddany. Zapłaciłem według umowy za twą usługę, ale nie zapłaciłem za

two poświęcenie. Czy chcesz tego słonia? Jest on twoim.

Oczy przewodnika zabłysły.

— Ależ to majątek, co mi pan daje? — zawołał.

— Przyjmij to, przewodniku, — odpowiedział Fogg, — i to nie ty, ale ja będę jeszcze twoim dłużnikiem.

— Do widzenia! — zawołał Passepartout — Bierz przyjacielu! Kiuni jest dzielny i szlachetny zwierzęciem.

I podchodząc do słonia podał mu kawałek cukru, mówiąc:

— Weź to, Kiuni, weź, weź!

Słoń wydał jakby pomruk zadowolenia.

Potem złapał trąbą za pas Passepartout i uniósł go, aż na sam wierzchołek głowy.

Passepartout, nie przerażony tem bynajmniej, pogłaskał zwierzę, które delikatnie postawiło go na ziemi.

W kilka minut potem, Filip Fogg, brygadier i Passepartout, zasiedli w wagonie, wyszukawszy wprzód najlepszego miejsca dla pani Andy. Poczem całą siłą pary wyruszyli do Benares.

Ośmdziesiąt mil conajmniej oddzielało miasto Allahabad od Benares, pomimo to przebiegli całą drogę w dwie godziny.

W drodze młoda kobieta doszła do zupełnej świadomości.

Cóż za zdziwienie ogarnęło ją na widok siedzących w wagonie i opiekujących się nią mężczyzn!

Nie rozumiała, skąd się tu wzięła w wagonie i nie wiedziała, kim są ci życzliwi dla niej ludzie.

Podano jej trochę likieru, potem brygadjer opowiedział jej o całym przejściu.

— Mówił jej o Filipie Fogg, który nie wahał się poświęcić swe życie, aby ją uratować, potem o Passepartout, który ją ocalił.

Pan Fogg nie przeszkadzał mówić brygadjerowi, Passepartout zaś zawstydzony powtarzał wciąż, że nie warto o tem mówić.

Pani Anda dziękowała serdecznie swym wybawcom, płacząc z radości i wzruszenia.

Jej piękne oczy, bardziej niż słowa, wyrażały wdzięczność.

Potem, przypominając sobie straszne przejścia, stos, ziemię indyjską, zaczęła drżeć konwulsyjnie.

Fogg zrozumiał, co się działo w umyśle uratowanej i dla uspokojenia jej przedstawił swój plan wywiezienia jej do Hong Kongu, aby nie została narażona na pochwycenie przez katów. Pani Anda przyjęła ten plan z wdzięcznością, tembardziej, że w mieście tem przebywał.

jeden z jej krewnych, również Pars, bogaty kupiec, który przyjąłby ją z wielką radością. O wpół do pierwszej pociąg zatrzymał się na stacji Benares.

Legenda indyjska głosi, że miasto to należało niegdyś do słynnego Casi, który zawieszony był w wszechświecie między niebem a ziemią, jak mogiła Mahometa.

Ale w tej epoce, kiedy nasi podróżni przyjechali do Benares, te Ateny indyjskie, znajdowały się na gruncie i Passepartout mógł doskonale obejrzeć domy z cegieł, marne domostwa, zburzone lub też rozwalające się zupełnie. Tutaj to miał się zatrzymać brygadjer. Pożegnał więc Filipa Fogga, życząc mu powodzenia i szczęśliwej podróży.

Pan Fogg uściśnął lekko dłoń towarzysza, dziękując za życzenie, pani Anda też żegnała go ze wzruszeniem, zapewniając, że nigdy nie zapomni, co winna panu Franciszkowi Cromarty, co zaś do Passepartout, to został on obdarzony silnem uściśnieniem ręki.

Wyjeżdżając z Benares, droga ciągnęła się w części doliny Gangesu.

Przez szyby wagonu, na tle jasnego nieba, przesuwały się przed oczyma podróżnych widoki Beharu, gór pokrytych zielonością, pól zasianych, jęczmieniem i owsem,

gdzieniegdzie kukurydza wznosiła swe kiście do góry, dalej widać było sadzawki i stawy, pełne aligatorów zielonych, jeszcze dalej wioski dobrze utrzymane, zieleniejące lasy.

Kilka słoni i zebu z dużemi garbami, spacerowało ku wodzie, aby się w niej wykąpać, a pomimo, że woda była już zimna i do kąpieli niezdatna, wielu Indusów obojga płci oblewało się wodą świętą na znak oczyszczenia się w ten sposób od grzechów.

Wierni ci, przeciwnicy buddaizmu są zarazem wyznawcami braminizmu, który wyraża się w trzech osobach: Wisznu bóg ziemi, Sziwa, bóg sił nadprzyrodzonych i Brahma, najwyższy pan kapłanów i wyznawców.

Cała ta panorama, przemknęła jak błyskawica tylko chwilami obłok pary, lub dymu przesłaniał widok.

Nadeszła noc i pośród ryku tygrysów, niedźwiedzi, wilków, które uciekały przed lokomotywą, pociąg przeleciał z wielką szybkością i nie widziano już więcej cudów Bengalu, Golgondy ani Szandernagoru, tej kolonji francuskiej na terytorjum indyjskiem, na którem Passepartout z dumą przyglądał się sztandarowi swej ukochanej ojczyzny!

Nakoniec o godzinie siódmej rano, Kalkuta była już widoczna. Dojechano szczęśli-

wie, mając czasu aż pięć godzin do wyjazdu parowca do Hong Kongu.

Nie było do tej pory opóźnienia w podróży pomimo, że zatrzymał się w Indjach dla wyratowania ofiary fanatyzmu. Pan Fogg nie żałował więc tego straconego czasu ani w tej chwili, ani później.

ROZDZIAŁ XV.

Passepartout za znieważenie indyjskiej świątyni przed sądem.

Pociąg stanął, Passepartout wyskoczył pierwszy z wagonu, potem pan Fogg, aby podać przy wysiadaniu rękę pani Andzie.

W chwili gdy pan Fogg wyszedł z wagonu, zbliżył się do niego policjant i spytał:

— Czy pan nazywa się Filip Fogg?

— Tak, to ja.

— Czy ten człowiek jest pana służącym? — wołał policjant, wskazując Passepartout.

— Tak.

— Zechce pan wraz ze służącym mi towarzyszyć.

Pan Fogg nie okazał wcale zdziwienia.

Agent ten był przedstawicielem prawa, a dla Anglika prawo jest święte.

Passepartout ze swemi obyczajami francuskimi, chciał oponować, ale policjant dotknął go swą laseczką, a sam pan Fogg nakazał mu posłuszeństwo.

— Czy ta młoda dama może nam towarzyszyć? spytał pan Fogg.

— Może — odpowiedział policjant.

Policjant zaprowadził całą trójkę do powozu, zaprzężonego w dwa konie. Wyruszone. Nie wyrzeczono słowa w czasie jazdy, która trwała dwadzieścia minut.

Powóz przebiegł szybko przez „czarne miasto“ o ulicach szerokich, na których przesuwiała się ludność obdarta i brudna, potem przejeżdżał koło europejskiego miasta z dużemi domkami, otoczonymi drzewami kokosowemi.

Gdy powóz zatrzymał się przed bardzo skromnem domostwem, policjant kazał wysiąść swym więźniom i umieścić ich w pokoju z zakratowanemi oknami, mówiąc:

— O wpół do dziewiątej staniecie panowie przed sędzią Obadiąh!

Potem wyszedł i zamknął drzwi za sobą.

— Aha! jesteśmy więźniami! — zawołał Passepartout.

Pani Anda, obróciwszy się ku panu Fogg, rzekła głosem, który chciała uczynić spokojnym, aby pokryć wzruszenie.

— Panie, trzeba mnie opuścić! To z mojego powodu jest pan ścigany! To za to, że mnie pan ocalił!

Filip Fogg odpowiedział, że to byłoby niemożliwe. Ścigany za porwanie ofiary! Oskarżyciele nie odważyliby się o to skarżyć. Prawo angielskie zabrania palić żonę wraz mężem.

Dodał przytem na uspokojenie, że nie opuści pani Andy, dopóki nie umieści jej w Hong Kongu

— Ależ parowiec odchodzi w południe!— zauważył Passepartout.

— Przed południem będziemy na brzegu, — odpowiedział spokojnie niewzruszony niczem dżentelmen.

Było to powiedziane tak stanowczym tonem, że Passepartout nie mógł się powstrzymać od wypowiedzenia sobie tych słów.

— Do licha! to jest pewne! Przed południem będziemy na brzegu!

O godzinie wpół do dziewiątej, drzwi przyległego pokoju otwarły się.

Była to sala audjencyjna, do której wprowadził więźniów policjant. Siedziało tam i stało dużo publiczności.

Pan Fogg, pani Anda i Passepartout usiedli na ławce naprzeciwko fotelów sędziego i ławników.

Prawie równocześnie z oskarżonymi wszedł sędzia Obadiah.

Był to człowiek tęgi, niskiego wzrostu. Wszedłszy zdjął wiszącą na ścianie perukę i włożył ją na głowę.

— Pierwsza sprawa, — zaczął.

Ale, podnosząc rękę do głowy, przerwał.

— He! to nie moja peruka!

W rzeczywistości, panie Obadiah, to moja, odpowiedział sekretarz.

— Panie Oysterpuf, jakżeż poprowadzę sprawę i wydam dobry wyrok, jeżeli mam na głowie pana perukę?

Nastąpiła zamiana peruk, a tymczasem Passepartout wrzał gniewem i niecierpliwością, gdyż wskazówka na ściennym zegarze zdawała się biec z najwyższą szybkością.

— Pierwsza sprawa, — powtórzył sędzia.

— Filip Fogg, — odpowiedział pisarz.

— Filip Fogg! — zawezwano.

— Jestem — odpowiedział zawołany.

— Passepartout?

— Obecny! — odpowiedział Passepartout.

— Dobrze! odpowiedział sędzia! — Oto już od dwóch dni gonią was wszystkimi pociągami z Bombayu.

— Ależ o co nas oskarżają? — zawołał rozzłoszczony Passepartout.

— Będzie pan o tem wiedział, — odpowiedział sędzia.

— Panie, — odezwał się Fogg, — jestem obywatelem angielskim i mam prawo...

— Czy oskarżono pana? — spytał sędzia.

— Bynajmniej.

— A więc dobrze! Proszę wprowadzić oskarżycieli!

Na rozkaz sędziego, drzwi się otwarły i trzech kapłanów wprowadzono na salę.

— To dobrze! — mruczał Passepartout, — to są te łotry, które chciały spalić naszą młodą damę.

Kapłani stanęli przed sędzią a pisarz przeczytał głośno skargę na świętokradców, ułożoną przeciwko panu Filipowi Fogg i jego słuzącemu, oskarżonym o zniewagę miejsca świętego braminów.

— Czy słyszał pan? — spytał się sędzia, zwracając się do pana Fogg.

— Słyszałem, — odpowiedział zapytany, — i przyznaję się.

— Więc pan się przyznaje?

— Przyznaję się i oczekuję zarazem, żeby ci trzej kapłani przyznali się też do tego, co chcieli zrobić w pagodzie Pillaji.

— Kapłani spojrzeli na siebie, zdając się tego nie rozumieć,



— Bezwątpienia! — zawołał gwałtownie Passepartout — w tej pagodzie, przed którą chcieli spalić swoją ofiarę!

Nastąpiło nowe osłupienie kapłanów i głęboki podziw sędziego.

— Jaką ofiarę? — spytał. — Kogo spalić? W mieście Bombayu?

— W Bombayu! — wykrzyknął Passepartout.

— Tu nie chodzi o pagodę w Pillaji, ale o pagodę w Malebar Hill, w Bombayu, — odpowiedział sędzia.

— A jako dowód winy, oto buciki przestępcy! — rzekł pisarz, unosząc do góry buciki Passepartout.

— Moje buciki! — zawołał uradowany Passepartout, nie mogąc powstrzymać okrzyku.

Można sobie wyobrazić zamieszanie, jakie powstało w umyśle pana i służącego.

Zapomnieli już o przygodzie w Bombayu, a tymczasem oto stoją za to przed sądem.

Agent Fix zrozumiał całą korzyść, jaką mógł wyciągnąć z okazji przyaresztowania Fogga, i w ten sposób zatrzymania go dłużej.

Obiecawszy kapłanom wysokie wynagrodzenie, zabrał ich ze sobą i przywiózł do Kalkuty.

Jeśliby Passepartout nie był tak bardzo przejęty całą sprawą, spostrzegłby w kącie ukrywającego się detektywa, który z zaciękawieniem przysłuchiwał się całemu przebiegowi sprawy, gdyż nie otrzymał on jeszcze rozkazu aresztowania Fogga, a każda zwłoka zbliżała go do urzeczywistnienia planu.

Sędzia zwrócił się do Passepartout, mówiąc:

— A więc do rzeczy, przyznaje się pan?

— Tak, przyznaje się! — odpowiedziano.

— A więc proszę posłuchać, — rzekł sędzia. — Prawo angielskie surowo karze przestępstwa, polegające na znieważeniu czyichś wierzeń.

Wina jest dowiedziona i stwierdzona. Wobec tego skazuję Passepartout na piętnaście dni więzienia i karę 7,500 franków.

— Co? Mam dać 7,500 franków? — wykrzyknął Passepartout, który najdotkliwiej odczuł karę pieniężną!

— Cicho! — zawołał pisarz, donośnym głosem!

— I, — ciągnął dalej sędzia, — uważając, że pan winien odpowiadać za czyny swego służącego, skazuje się Filipa Fogga na ośm dni aresztu i sto pięćdziesiąt funtów kary pieniężnej.

Fix w swem ukryciu nie posiadał się z radości. Filip Fogg zatrzymany będzie ośm dni w Kalkucie, to wystarczy aby, nadszedł rozkaz aresztowania.

Passepartout był zgnębiony tym wyrokiem. Filip Fogg, zatrzymany przez ośm dni w Kalkucie, to znaczyło zrujnowanie. Zakład będzie przegrany, dwadzieścia tysięcy funtów straconych, a wszystko to z jego winy, wszystko przez jego nieposkromioną ciekawość.

Filip Fogg, zawsze panujący nad sobą, nawet nie zmarszczył brwi na ten wyrok. Ale w chwili, gdy pisarz miał wywołać drugą sprawę, podniósł się z miejsca i rzekł:

— Ofiaruję kaucję.

— To pańskie prawo, — rzekł sędzia.

Fixowi zrobiło się zimno, ale uspokoił się na chwilę, gdy sędzia naznaczył kaucję za Foggą i służącego w kwocie olbrzymiej: tysiąca funtów, t. j. dwudziestu pięciu tysięcy franków za każdego z osobna.

A więc dwa tysiące funtów kosztowałaby ta sprawa pana Foggą — nie zapłaci tego chyba! — myślał detektyw.

— Płacę, — rzekł dżentelmen.

I z worka, trzymanego przez Passepartout, wyciągnął paczkę banknotów, które położył na biurku pisarza.

— Suma ta zostanie panu zwrócona po wyjściu z więzienia, — powiedział sędzia. — W tej chwili jesteście panowie wolni za kaucją.

— Chodź! — powiedział Fogg służącemu.

— Ale przynajmniej niechże oddadzą mi moje buciki — krzyknął Passepartout z wściekłością.

Oddano mu buciki.

— Oto jakie kosztowne buciki! — wykrzyknął. — Jeden kosztuje tysiąc funtów. Nie baczając na to, że mi wstyd przynoszą!!!

Passepartout, niezmiernie zmartwiony, szedł za panem, który podał ramię pani Andzie. Fix rzucił się w ich ślady...

Pan Fogg wziął powóz, Fix biegł za nim, aż zatrzymał się na jednym z rogów ulicy.

O godzinie dwunastej detektyw ujrzał naszych podróżnych, wsiadających do statku.

— Nikczemny! — zawołał — odjeżdża! Dwa tysiące funtów poświęca! Rozrzutny, jak każdy złodziej! Ach! muszę go złapać, chociażby na krańce świata uciekał. Nie ujdzie rąk moich, złoczyńca! Ale tymczasem wszystkie ukradzione z banku pieniądze roztrwoni!

I rzeczywiście Fix, obliczając wydatki szalone, jakie robił Fogg, doszedł do wniosku, że

tenże wydał już tysiące funtów na takie sprawy, jak kupno słonia, kaucję... Co mu tedy pozostało?

ROZDZIAŁ XVI.

Daremne oczekiwanie Fixa na możliwość aresztowania pana Fogg.

Rangun, parowiec, będący na morzu na usługach Chin i Japonji, był ogromnym okrętem żelaznym, o sile czterystu koni. Dorównywał on w szybkości Mongolję, ale co do komfortu, stał o wiele niżej od niej.

Nie mógł więc pan Fogg dać tak wygodnej kajuty pani Andzie, jakby sobie tego życzył.

Szło tu o jakieś jedenaście do dwunastu dni podróży, a ponieważ pani Anda nie była bardzo wymagającą podróżniczką, przeto niewygody nie przestraszyły jej zupełnie.

Podczas pierwszych dni tej drogi parowcem, pani Anda zaznajomiła się bliżej z panem Fogg. Przy każdej okazji okazywała mu swą wdzięczność.

Flegmatyczny dżentelmen przyjmował to zwykłym swym chłodem, zdawało się, że bez żadnego wzruszenia, ale co się działo w głębi jego duszy, nikt zgadnąć nie był w stanie.

Wciąż czuwał nad tem, żeby pani Andzie nie zbywało na niczem, a o zwykłej godzinie przychodził na pogawędkę, a raczej na wsłuchiwanie się w to, o czem mówiła.

Spełniał wszelkie obowiązki grzeczności i uprzejmości, jak automat, dobierając wyuczonych ruchów.

Pani Anda nie wiedziała, co o tem myśleć, ale Passepartout powiedział jej coś niecoś o ekscentrycznem usposobieniu swego pana. Zaznajomił ją z planem podróży naokoło świata, z zakładem przez niego zrobionym. Młoda kobieta uśmiechała się, słuchając opowiadań o Foggu, ale jednocześnie patrzyła na niego z wdzięcznością i ogromnym szacunkiem.

Pani Anda potwierdziła to, co opowiadał o niej przewodnik.

Pochodziła ona z tej rasy, która zajmuje pierwsze miejsce wśród innych plemion.

Wielu kupców porobiło ogromne interesy na handlu bawełną i jeden z nich był krewnym młodej kobiety.

Drugi miał się znajdować w Hong Kongu, do niego to właśnie miała się schronić. Czy znajdzie go tam? nie wiedziała. Ale pan Fogg zapewnił ją, że wszystko pójdzie dobrze, a słowom jego ufała.

Pierwsza część podróży parowcem odbyła się nadspodziewanie szczęśliwie. Czas był nadzwyczaj pogodny, można było obserwować każdą wyspę, każdą okolicę.

Panorama wysp była przepiękna. Ogromne lasy, bambusowe gaje, olbrzymie mimozy, pokrywały całe przestrzenie, za tem wszystkim ciągnęły się góry.

Wkrótce parowiec posunął się ku Malaccie na wody Chin.

Co robił w tym czasie agent Fix, tak niespodzianie wciągnięty w podróż? Oto po nieudanej chęci zatrzymania Filipa Fogga w Kalkucie, wpadł na parowiec Rangun i tam, niepostrzeżony przez Passepartout, obserwował jego pana bez przerwy.

Potem postanowił odświeżyć znajomość ze służącym, do czego zdarzyła się wkrótce sposobność. Jaka? Zobaczymy.

Wszystkie nadzieje, wszystkie życzenia Fixa skoncentrowane były w jednym punkcie na świecie, w Hong Kongu, gdyż parowiec za krótko stawał w Singapurze, aby móżd tam coś przedsięwziąć.

W Hong Kongu musiał zaaresztować złodzieja, gdyż złodziej umknąłby mu napewno.

W rzeczywistości Hong Kong była jeszcze ziemią angielską, ale ostatnią w Indjach. Poza tem Chiny, Japonja, Ameryka mogły być

dogodnem miejscem do ukrycia się dla bandytów.

W Hong Kongu, jeśli nadszedł już rozkaz aresztowania Fogga, odda go w ręce policji miejscowej.

Ale poza granicami tego miasta zwykły rozkaz aresztowania nie wystarczy. Trzebaby mieć różne akty i rozkazy.

— Ale, — mówił do siebie Fix, — spacerując po kajucie, — jeśli rozkaz aresztowania nie będzie jeszcze w Hong Kongu, trzeba za wszelką cenę opóźnić jego podróż! Udało mi się w Bombayu, udało się w Kalkucie! Ale w jaki sposób zatrzymać tego przekłętego Fogga?

Fix w ostateczności postanowił wszystko wyznać Passepartout, powiedzieć mu, u jakiego pana służy i jak staje się przez to współwinnym przestępstwa.

Passepartout, bojąc się wmięszania w tę sprawę, z pewnością stanie się stronnikiem. Ale to zostawiał agent na sam koniec, jeśliby go wszystko zawiodło.

Było to bowiem jednak bardzo ryzykowne, gdyż Passepartout mógłby wyznać to swemu panu a w ten sposób zepsułyby całą sprawę.

Inspektor policji był bardzo zakłopotany, gdy na brzegu przy parowcu Rangun ujrzał panią Andę.

Kim jest ta dama? Jakie okoliczności przywiodły ją tutaj? Prawdopodobnie między Bombayem a Kalkutą zeszli się z tą kobietą.

Czy to przypadek dał poznać Foggowi tą kobietę?

A może ta podróż po Indjach miała za cel spotkanie z tą cudną kobietą? Bo, że była cudna, to Fix dobrze widział, gdy siedział w sali sądowej w Kalkucie. Zaintrygowany ogromnie, przeczuwając w tem jakąś spółkę złodziejską, postanowił wybadać przede wszystkim służącego, który najlepiej wie na pewno o osobistych sprawach swego pana.

Nie było czasu do stracenia. Było już 31 października, a nazajutrz Rangun miał odjechać do Singapur.

Dnia tego, Fix, wychodząc ze swej kajuty, wyszedł na pomost w zamiarze zaczepienia Passepartout z oznakami niby wielkiego zdziwienia.

Passepartout przechadzał się po pomoście gdy inspektor zbliżył się do niego, wołając:

— Pan, na Rangunie!

— Pan Fix tutaj! — zawołał Passepartout, zdziwiony, poznając w nim towarzysza rozmów na Mongolji. — Jakto? pożegnałem pana w Bombayu i znajduję pana na brzegu

Hong Kongu! Ależ i pan chyba odbywa podróż naokoło świata!

— Nie, nie, — odpowiedział agent — mam zamiar zatrzymać się już tutaj lub w Hong Kongu przynajmniej na kilka dni.

— Ach! — odparł Passepartout, który zdawał się być bardzo zdziwiony — W jaki sposób nie dostrzegłem pana od naszego wyjazdu z Kalkuty?

— Widzi pan, byłem chory... choroba morska. Leżałem prawie wciąż w mojej kajucie. Zaszкодził mi ocean Indyjski. A jakżeż się miewa pan Fogg?

— Dziękuję, cieszy się doskonałem zdrowiem. A punktualny, jak zwykle! Ani jednej minuty się nie opóźnia... Ach! panie Fix, pan pewnie nic nie wiesz, że mamy z sobą pewną młodą damę.

— Młodą damę? — powtórzył agent, który miał minę, jakby o niczem nie wiedział.

Ale Passepartout był już w swoim żywiole. Natychmiast zaczął opowiadać o wszystkim, a więc o kupnie słonia za dwa tysiące, o porwaniu Andy, o sądowej sprawie w Kalkucie, o oswobodzeniu od więzienia za kaucją.

Fix, który ostatnie historie znał doskonale, zdawał się być przejętym.

— Ale, powiedz mi, panie Passepartout, czy pan Fogg ma zamiar zabrać z sobą tę damę do Europy?

— O, nie, panie Fix! odda ją pod opiekę bogatego kupca w Hong Kongu, który jest jej krewnym.

— Nic stanowczego! — rzekł do siebie w myśli detektyw, — w ręce twoje, panie Passepartout!

I pili i rozmawiali wesoło.

ROZDZIAŁ XVII.

Przyjazd do Singapur. Opisy przyrody.

Od dnia tego Fix i Passepartout spotykali się często, ale agent trzymał się jeszcze zdaleka od swego towarzysza i nie przyznawał się do swej roli.

Raz, czy dwa tylko przyglądał się panu Fogg, który albo rozmawiał z panią Andy, albo też w dużym salonie Ranguna grał w swego ulubionego wista.

Co do Passepartout, to ten na serjo zaczął rozmyślać nad rolą, jaką z pewnością miał odegrać w życiu jego pana ów Fix.

Ten człowiek, bardzo uprzejmy, serdeczny, którego spotkał w Suez, postępuje krok w krok za jego panem, jakby go śledził, coś w tem kryć się musiało.

Kim był ten Fix i poco śledził? Gotów był Passepartout założyć się o swoje bambosze, że, chociaż zapewniał, iż pozostanie w Hong Kongu, z pewnością wsiądzie do parostatku i wyruszy wraz z nimi.

W końcu Passepartout doszedł do przekonania, że ów Fix nie był kim innym, jak agentem, śledzącym pana Fogg. Domysł jego, jak widzimy, był bardzo trafny.

Tylko, że poczciwy Passepartout nie pomyślał ani na chwilę, iż ktoś śledzi jego pana, jako złodzieja, który okradł Bank, był tylko pewny, że ci panowie, którzy założyli się z panem Fogg, wysłali kogoś, aby śledził podróżnika, czy rzeczywiście objedzie świat naokoło.

— To widoczne! To widoczne! — powtarzał uczciwy chłopak, dumny ze swej przenikliwości. — To szpieg, którego ci panowie wysłali, A to niegodni! Pan Fogg taki uczciwy, honorowy! Kazać go śledzić agentowi!

Ach! panowie z Klubu „Reform“, będzie to was drogo kosztowało!

Passepartout zachwycony swem odkryciem, postanowił jednak nic o tem nie mówić, wiedząc, że pan Fogg byłby śmiertelnie urażony, gdyby się dowiedział o braku zaufania do siebie swych towarzyszy z klubu.

Ale postanowił spytać Fixa wprost przy spotkaniu, co ma on na celu, jeżdżąc stale za nimi.

W środę 30 października popołudniu Rangun dosięgnął miejscowości Malakka, która oddziela półwysep tejże nazwy od ziemi Sumatry.

Widać było urwiska skalne zasłaniające wyspę, a nazajutrz o czwartej rano parowiec stanął w Singapurze, aby zabezpieczyć sobie większą ilość węgla.

Filip Fogg tym razem nie siedział w kajucie, lecz, chcąc spełnić prośbę pani Andy wyszedł na ląd, aby przez parę godzin użyć z nią przechadzki.

Fix, któremu każda czynność pana Foggga zdawała się podejrzaną, poszedł za nimi niewidoczny.

Co do Passepartout, to ten śmiał się w duchu, a widząc te manewry agenta, poszedł załatwiać sprawunki.

Wyspa Singapur nie odznacza się ani wielkością, ani okazałością widoków, brak jej bowiem gór.

Miejscami jest ona czarująca, wygląda jak park, przetrzymany pięknymi ścieżkami.

Wspaniały powóz z Nowej Holandji zawiózł pana Foggga i panią Andę do cienistych alei palmowych.

Ogrodzenia z krzaków pieprzowych zastępowały ostroploty wsi europejskich, drzewa muszkatowe o zielonych liściach napępiały powietrze precudną wonią.

Małpy w gromadach całych, wyprawiały zwinne i pocieszne skoki, a mnóstwo różnobarwnych ptaków przelatywało nad głowami podróżnych, lśniąc pięknem pierzem, jak drogocennymi klejnotami.

Nie brakło tam i tygrysów, co zdawało się bardzo dziwnem, bo wszak można było wytępić je do ostatniego.

Wytłomaczyć to tylko można tem, że krwiożercze te stworzenia przepływały morzem z Malakka.

Przebywszy na wsi parę godzin, Fogg i pani Anda pojechali do miasta, z olbrzymią masą domów niekształtnych i ciężkiej budowy, otoczonych pięknymi ogrodami, w których rosną ananasy, banany i wszystkie najwyborniejsze owoce na świecie.

O godzinie dziesiątej powrócili na parowiec, śledzeni wciąż przez postępującego za nimi agenta.

Passepartout oczekiwał ich na pomoście Ranguna.

Dzielny chłopak kupił kilka tuzinów owoców, wielkości jabłek, z wnętrzem białem, powierzchnią brązowo-czerwoną.

Passepartout był bardzo szczęśliwym, mogąc ofiarować owoce pani Andzie, która podziękowała mu z wielkim wdziękiem.

O godzinie jedenastej Rangun, zaopatrzywszy się w węgiel, wyruszył w drogę, a w kilka godzin potem pasażerowie stracili z oczu wysokie góry Malakki, których lasy, obfitują w najpiękniejsze tygrysy na świecie.

Tysiąc trzysta mil oddziela Singapur od Hong Kongu, małego terytorjum angielskiego od strony chińskiej.

Panu Fogg chodziło o to, żeby w przeciągu sześciu dni odbyć tę drogę, gdyż 6 listopada miał odejść parowiec do Jokohamy, jednego z najpiękniejszych portów Japonji. Rangun był bardzo obciążony. Wielu pasażerów przybyło do Singapur. Byli między nimi Indusi, Ceylończycy, Chińczycy, Malajczycy, Portugalczycy.

Pogoda, dotąd sprzyjająca, zepsuła się nagle. Wiatr dał gwałtownie, ale parowiec ze zdwojoną siłą pędził po falach i w ten sposób dopłynął szczęśliwie i szybko do brzegów Annamu i Kochinchiny!

Zła pogoda i silne kołysanie się na falach było tylko dla pasażerów niedogodne, wielu chorowało na mdłości morskie, wielu czuło się zmęczonymi i odpoczywało w kajutach.

Często bardzo wskutek zlej pogody trzeba było zwalniać biegu, co nie było dla pana Fogg przyjemnem, nie okazywał jednak zdenewrowania, podczas gdy Passepartout był ogromnie tą zwłoką zirytowany.

Oskarżał kapitana, maszynistę, i wysyłał do piekieł wszystkich tych, którzy biorą się do przewożenia podróżnych, nie mając o tem pojęcia.

— Ależ wy przyjdziecie bardzo wcześnie do Hong Kongo, czy ma pan Fogg tam dłużej pozostać?

— Nie zawcześnie przyjdziemy, to pewne! rzekł zniecierpliwiony Passepartout.

— Czy myśli pan, że pan Fogg weźmie parowiec do Jokohamy?

— O, tak, i to jak najszybciej!

— A więc wierzy już pan w tę podróż naokoło świata?

— Naturalnie. A pan, panie Fix?

— Ja? Nie wierzę wcale!

— Dlaczego? — zaśmiał się Passepartout.

Na drugi dzień Passepartout spotkał znów agenta. Nie mógł już powstrzymać języka.

— Panie Fix, — rzekł do swego towarzysza złośliwym tonem, — czy naprawdę pozostanie pan w Hong Kongu? czy rzeczywiś-

cie będziemy mieli to nieszczęście, aby pana tam pożegnać?

— Ależ, — odpowiedział Fix zmieszany — nie wiem, jak będzie. Może być, że...

— Ach! — odrzekł Passepartout, — jeśli będziesz nam pan towarzyszył, będzie to wielkiem dla mnie szczęściem! Będziemy mieli współtowarzysza w naszej podróży naokoło świata!

Fix patrzył uważnie na Passepartout, który miał tak pocieszoną minę, że zaczęli się obaj śmiać do rozpuku.

— Czy rzemiosło agenta Kompanji jest dobrze płatne? — spytał po chwili Passepartout.

— Tak i nie, — odpowiedział Fix. — Są dobre i złe interesy! Ale rozumie pan chyba, że podróżuję nie za swoje pieniądze!

— O, co do tego, to jestem pewny! — wykrzyknął Passepartout, śmiejąc się przytem serdecznie.

Po skończonej rozmowie Fix poszedł do swej kajuty i pogrążył się w rozmyślania.

Byłzapewne zdemaskowany. Passepartout odgadł, że jest detektywem. Ale czy uprzedził o tem swego pana? Jaka rolę grał w tej sprawie?

Agent przeżył kilka ciężkich chwil, to myśląc, że wszystko już stracone, to znów mając nadzieję, że Fogg ignoruje sytuację, nie wiedząc, jaki weźmie obrót.

Ale spokój wkrótce zapanował w mózgu Fixa i postanowił rozmówić się szczerze ze służącym.

Jeśli nie będzie mógł zaaresztować pana Fogg'a w Hong Kongu i jeśli opuści on ziemię angielską, Fix opowie wszystko służącemu.

Albo służący jest współnikiem swego pana, i wie wszystko, a wtedy sprawa byłaby załatwiona, albo też Passepartout nie grał żadnej roli w kradzieży, a wtedy w interesie jego było opuścić swego pana, jako złodzieja.

Taka była sytuacja, a tymczasem Filip Fogg w swej majestatycznej obojętności spełniał to, co do niego należało, okrążał świat naokoło, bez obawy o to, co myślano o nim.

ROZDZIAŁ XVIII.

Pobyć w Hong Kongu. Pani Anda jedzie do Europy.

Podczas ostatnich dni jazdy, pogoda była zła, wiatr bardzo silny. Podczas dni 3-go i 4-go listopada, szalała burza na morzu. Fale uderzały z siłą o statek. Rangun płynął powoli, bojąc się uderzenia o podwodne skały.

Filip Fogg przyglądał się rozszalałemu morzu, które zdawało się buntować przeciw niemu. Ani razu nie zasępiło się jego czoło, a przecież dwadzieścia godzin opóźnienia była to wielka strata czasu, mógł nie zdążyć na parowiec do Jokohamy.

Ale człowiek ten bez nerwów nie odczuwał ani zniecierpliwienia, ani znudzenia.

Zdawało się, że burza ta była przez niego przewidziana. Pani Anda, rozmawiając z nim o burzy, znajdowała go tak spokojnym, jak zwykle.

Fix, przeciwnie, patrzył na burzę innem okiem. Był bardzo zadowolony z niepogody i burzy.

Szczęście jego nie miałoby granic, gdyby Rangun musiał uciekać przed burzą.

Wszystkie te opóźnienia były dla niego dogodne, gdyż zmuszały pana Foggę do pozostawania dłużej o dni kilka w Hong Kongu.

Ale wkrótce niebo się rozchmurzyło, pogoda wracała, burza ucichła. Passepartout w czasie niepogody był wściekły.

Aż dotąd wszystko zdawało się im sprzyjać.

A teraz! Burza ta doprowadzała go do rozpacz, do wściekłości, z radością okładałby niesforne fale kijami. Biedny chłopak! Fix ukrywał przed nim starannie swe zadowolenie

i robił dobrze, bo gdyby Passepartout odgadł powód zadowolenia agenta, źle byłoby z nim napewno.

Passepartout przez cały czas niepogody przebywał na pomoście Ranguna. Nie był on w stanie pozostać na dole, chciał wciąż pomagać walczącym przeciw żywiołowi.

Czwartego listopada burza ucichła. Wiatr przeszedł na południe i stał się dla parowca pomyślnym. Passepartout poweselał natychmiast, a Rangun puścił się z podwojoną szybkością.

Ale trudno było naprawić czas utracony i dopiero 6-go listopada ukazał się ląd.

Było to 24 godzin opóźnienia i wyjazd do Jokohamy nie mógł być urzeczywistniony.

O godzinie 6-ej przybito do brzegów i skierowano się tamtędy do portu Hong Kongu.

Pan Fogg spytał pilota, czy wyjedzie statek z Hong Kongo do Jokohamy?

— Jutro rano, — odpowiedziano.

— Ach! — odrzekł na to pan Fogg, nie okazując żadnego zdziwienia.

Passepartout chciał się rzucić z radości na szyję pilota, Fix zaś był gotowy go zadusić ze złości.

— Jak się ten statek nazywa? — spytał Fogg.

— Karnatik, odpowiedział pilot uprzejmie.

— Czy nie miał on wczoraj odpłynąć?

— Tak panie, ale zepsuł się komin, musiano naprawiać.

— Dziękuję panu, — odrzekł Fogg i automatycznym krokiem oddalił się.

Co do Passepartout, to ten uściśnął z całej siły rękę pilota i rzekł ze wzruszeniem:

— Jesteś panie pilocie, dzielnym człowiekiem.

W godzinę potem wylądowano na miejscu.

W tym razie wypadek z parowcem posłużył na korzyść pana Fogg. Bez potrzeby naprawy parowca, odjechałby o dzień wcześniej.

Pan Fogg miał jeszcze szesnaście godzin do rozporządzenia, które miał użyć na wynalezienie krewnych pani Andy i umieszczenie jej u nich.

Po wyjściu z parowca podał rękę młodej kobiecie i pilnował, żeby jej na niczem nie zbywało.

Potem powiedział jej, że idzie w celu wynalezienia krewnego, którego staraniom powierzy ją na stałe. Passepartout kazał pozostać w hotelu, aż do jego powrotu, aby pani Anda nie pozostawała sama.

Stąd dżentelmen poszedł do biura adresowego.

Powiedziano mu, że kupiec wyjechał stąd przed dwoma laty.

Zdobywszy fortunę, wyjechał do Europy, zdaje się do Holandji, z którą utrzymywał zawsze duże stosunki handlowe.

Filip Fogg powrócił do hotelu i natychmiast polecił zapytać się pani Andy, czy go przyjmie?

Stanąwszy przed nią, powiedział jej bez ogródki, że czcigodny jej krewny nie mieszka w Hong Kongu i, że prawdopodobnie przebywa na stałe w Holandji.

Pani Anda nie odpowiedziała na to ani słowa.

Przesunęła ręką po czole i namysliła się przez chwilę, poczem rzekła swym słodkim głosem:

— Co mam teraz począć, panie Fogg?

— To bardzo proste, — odpowiedział. — Powrócić do Europy.

— Ale ja nie mogę narzucać się i przeszkadzać...

— Wcale mi pani nie przeszkadza, obecność pani nie zmienia w niczem mojego programu.

— Passepartout?

— Jestem, proszę pana.

— Idź do Karnatika i zamów trzy kajuty.

Passepartout zachwycony, że podróż odbywać się będzie razem z młodą kobietą, która była dla niego uprzejmą, puścił się pędem do Karnatika.

ROZDZIAŁ XIX.

Fix przyznaje się Passepartout do wszystkiego, wreszcie spaja go i ten zuch niezdolny wrócić do swego pana.

Hong Kong jest zwykłą wyspą, która po zwycięstwie Anglików w roku 1842 przeszła pod panowanie Anglii.

W lat kilka genjusz kolonizatorski Wielkiej Brytanji stworzył tutaj port Viktoria!

Wyspa ta położona jest nad rzeką Kantonem i tylko sześćdziesiąt mil oddziela ją od miasteczka portugalskiego Makao, zbudowanego na drugim brzegu.

Hong Kong zwyciężyło miasta chińskie pod względem handlu i dziś było miastem, przewożącym wszystkie towary.

Passepartout z rękami w kieszeniach kierował się ku portowi Wiktorja, przyglądając się budynkom, palankinom, Chińczykom, Japończykom i Europejczykom, którzy pośpiesznie przechodzili ulice.

Przybywszy do portu, zauważył ogromną liczbę ludzi w podeszłym wieku, ubranych na żółto.

Wszedłszy do golarza, aby się ogolić na sposób chiński, spytał, co to byli za ludzie?

Dowiedział się przez tłumacza, który znał język angielski, że ci starcy mieli co najmniej po lat ośmdziesiąt i że w tym wieku przysługuje im przywilej noszenia koloru żółtego, który jest kolorem cesarskim. Passepartout rozśmieszyło to bardzo, co znów rozgniewało golarza.

Po ogoleniu się poszedł do miejsca, gdzie stanął Karnatik i tam spostrzegł Fixa, przechadzającego się po wybrzeżu. Nie zdziwiła go ta przechadzka, lecz wyraz wielkiego przygnębienia na twarzy inspektora policji.

— Dobrze! — rzekł do siebie Passepartout, — znaczy to, że źle idzie sprawa panów z Klubu „Reform!“

I przywitał Fixa wesółym uśmieszkiem, nie zwracając uwagi na skrzywioną minę tego ostatniego.

Rzeczywiście, miał się czego martwić pan Fix! Rozkazu aresztowania ani widać!

A tu Hong Kong było ostatniem miastem, w którem mógłby być pan Fogg aresztowany. Potem, na obcej ziemi umknie mu napewno!

— A więc, panie Fix, — odezwał się Passepartout, czy zamierza pan z nami dojechać aż do Ameryki?

— Tak, — odpowiedział agent przez zaciśnięte zęby.

— A więc tak! — zawołał Passepartout, wybuchając głośnym śmiechem. — Wiedziałem dobrze, że nas pan nie opuści..

Chodźmy zamówić sobie miejsca!...

Poszli obaj i zamówili cztery kajuty, ale powiedziano im w biurze, że naprawa parowca została ukończona, i że tego samego dnia wieczorem o godzinie ósmej wyrusza w drogę, nie zaś nazajutrz rano, jak zapowiadali.

— Bardzo dobrze, — odpowiedział Passepartout, ucieszy to mego pana. Idę go uprzedzić o tej zmianie.

W tejże chwili Fix powziął ostateczną decyzję.

Postanowił, powiedzieć wszystko służącemu.

Był to jedyny sposób zatrzymania Fogga przez kilka dni jeszcze w Hong Kongu.

Przy wyjściu z biura zaproponował Passepartout wypicie paru kieliszków w oberży.

Passepartout miał czas, więc chętnie przystał na propozycję.

Weszli do obszernej sali, w której na środku stało olbrzymie łóżko z masą podu-

szek. Na łóżku tem było dużo śpiących podróżnych.

Ze trzydziestu gości piło w sali przy małych stolikach.

Jedni pili porter angielski, drudzy likier, wódkę lub rum.

Większość paliła fajki o wielkich cybuchach z czerwonej glinki, w których umieszczona była gałka opjum, pomieszana z esencją różaną.

Od czasu do czasu, jakiś upity palacz zwał się z nóg, a wtedy chłopcy usługujący brali go za nogi i głowę i zanosili na łóżko. Ze dwudziestu tych opilców leżało już rzędem na łóżkach, w ostatniem stadjum nieprzytomności.

Fix i Passepartout zrozumieli, że trafili do miejsca, gdzie oddają się nałogowi palenia opjum, który skraca życie ludzkie.

Chińczyk, oddający się temu nałogowi, żyje bowiem conajwyżej do lat czterdziestu.

Rząd chiński walczy z tym nałogiem, łózając na to ogromne sumy, ale wszystko na próżno. Zarówno wyższe, jak i niższe sfery ludzi giną tysiącami, przenosząc nałóg z rodziny na rodzinę.

Opilec, taki zdolny wypalić pięć fajek dziennie, w pięć lat umiera.

Passepartout nie miał ze sobą pieniędzy, ale przyjął zaproszenie Fixa i pił na jego koszt obiecując zwrócić mu wydatek za powrotem.

Zamówiono dwie butelki wina, ulubiony trunek Francuzów, którego Fix pił bardzo mało, bacząc natomiast, aby Passepartout nie żałował sobie.

Rozmawiano o tem i o owem a najbardziej o doskonałej myśli, jaką powziął Fix, jechać z nimi razem na Karnatiku.

Passepartout po wypiciu, przypomniał sobie, że ma zawiadomić swego pana o wcześniejszym wyjeździe Karnatika, ale Fix nie dał mu odejść od stołu.

— Jedna chwila jeszcze — rzekł.

— Czego żądasz, panie Fix?

— Mam z panem pomówić o rzeczach bardzo poważnych.

— O rzeczach poważnych! — wykrzyknął Passepartout, wypróżniając do kropli ostatnią swą szklankę. — Dobrze, ale pomówimy o tem jutro... Dziś nie mam czasu.

— Zostań pan, — powiedział agent, — tu idzie o pana Fogga.

Na te słowa Passepartout spojrział uważniej na agenta.

— Cóż to takiego masz mi pan powiedzieć o mym panu? — spytał.

Fix dotknął ramienia Passepartout i rzekł szeptem.

— Domyśliłeś się pan, kim jestem?

— Do licha, — odrzekł uśmiechnięty Passepartout.

— A więc wyznam panu wszystko...

— Teraz, kiedy wiem wszystko! Zresztą, proszę mówić. W każdym razie ci dżentelmeni z Klubu „Reform“ napróżno chcieli się czegoś dopatrzyć.

— Napróżno! — zawołał Fix. Chyba pan nie wie, o jaką sumę tu idzie?

— A jeśli wiem, — odrzekł Passepartout. — Dwadzieścia tysięcy funtów!

— Pięćdziesiąt pięć tysięcy! — przerwał Fix, ściskając rękę służącego.

— Co? — wykrzyknął Passepartout — pan Fogg byłby w stanie!... Pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów!... A więc, skończmy już tę rozmowę! dodał, wstając od stołu.

— Pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów! — powtórzył Fix, usiłując zatrzymać towarzysza i zmusić do wypicia świeżo przyniesionej flaszki wódki, — jeśli dokonam tego, do czego się zobowiązałem, otrzymam dwa tysiące funtów. Czy chce pan pięćset funtów, jeśli mi pan pomoże?

— Panu pomódz? — wykrzyknął Passepartout, szeroko otwierając oczy.

— Tak, mnie dopomóżdź w zatrzymaniu pana Fogga przez dni kilka w Hong Kongu!

— He! co pan mówi? Jakto? niedość, że panowie ci nie chcieli jechać razem, że nasłali kogoś, kto śledzi mego pana, jeszcze chcą utrudniać mu podróż, aby się spóźnił i przegrał zakład! Wstyd mi za tych dżentelmenów!

— Ach! tak! o czem to pan mówi?— spytał agent.

— Wiem o co im chodzi, chcą zabrać pieniądze, złożone w banku, jeśliby pan Fogg przegrał zakład! Ot co!

— Aha! to pan tak myśli?

— Ależ to podłość! — wykrzyknął, podniecony dolewany wcióż przez agenta trunkiem, Passepartout — to nikczemność! I to koledzy, dżentelmeni!

Fix przestał rozumieć, o co chodzi służącemu.

— To koledzy! Członkowie Klubu. Wiedz zatem panie, Fix, że pan mój jest człowiekiem uczciwym i jeśli zgodził się na zakład, to z pewnością go wygra!

— Ale za kogo mnie pan ma? — spytał wreszcie zdziwiony agent, patrząc w oczy Passepartout.

— Tam do licha! Agent członków Klubu „Reform,” agent, który ma misję kontrolowania mego pana, co jest dla niego rzeczą upoka-

rzającą! Oddawna już wyczułem to, ale nie mówiłem panu Fogg o tem, byłoby to bowiem dla niego zbyt bolesne!

— Nic o mnie nie wie?... żywo spytał agent.

— Nic, — odpowiedział Passepartout, wypróżniając kieliszek.

Inspektor policji przesunął ręką po czole. Wahał się z wypowiedzeniem prawdy. Co ma począć?

Omyłka Passepartout była szczera, ale utrudniała jego projekt.

Widoczne było, że chłopiec ten mówił z dobrą wiarą i że nie był współnikiem swego pana.

— A więc, — rzekł do siebie — jeśli nie jest, jak widzę, współnikiem, to mi pomoże.

Detektyw po raz drugi próbował. Ale, że nie miał czasu na długie czekanie, postanowił działać zaraz. Przedewszystkiem trzeba było koniecznie zatrzymać pana Fogg'a w Hong Kongu.

— Posłuchaj pan! — rzekł agent — posłuchaj dobrze.

Nie jestem tym, za kogo mnie pan bierzesz. Nie jestem agentem z Klubu „Reform“.

— Ba! — odpowiedział Passepartout, patrząc na niego drwiąco.

— Jestem inspektorem policji, upoważnionym do działania przez misję administracyjną południową...

— Pan... inspektorem policji?...

— Tak, mam dowód na to! — i wyjął papier z podpisami dyrektora policji centralnej?

Passepartout patrzył na Fixa, nie mogąc wymówić ani słowa.

— Zakład pana Fogga jest tylko pretekstem dla pana i kolegów z Klubu... Pan Fogg miał inny powód do wyjazdu!...

— Jaki?! — wykrzyknął Passepartout.

Posłuchaj pan. Dwudziestego ósmego września ukradziono pięćdziesiąt pięć tysięcy funtów w Banku Angielskim.

Widziano tego, który to uczynił i mam wypisany rysopis złoczyńcy.

Wszystko zgadza się z wyglądem pana Fogga.

— Hola, panie! — zakrzyknął Passepartout, uderzając pięścią w stół. — Pan mój jest najuczciwszym człowiekiem w świecie!

— Skąd pan może o tem wiedzieć? — odpowiedział Fix. — Sam pan go nie zna. Wstąpił pan do niego na służbę w dzień jego wyjazdu, a on wyjechał czempredzej pod szalonym pozorem bez bagaży, unosząc z sobą olbrzymią sumę w banknotach! I pan mówi, że to uczciwy człowiek!

— Tak! tak! — powtarzał machinalnie oszołomiony chłopak.

— Czy chcesz być zaaresztowany, jako jego współnik?

Passepartout porwał się obu dłońmi za głowę. Nie wiedział, co ma myśleć. Nie śmiał spojrzeć na inspektora policji.

Filip Fogg złodziej, on, zbawca Andy, człowiek tak dzielny i szlachetny!

A jednak jakież poszlaki!

Passepartout starał się odepchnąć od siebie podejrzenia, które wpelzały do jego mózgu!

Nie chciał wierzyć w występki swego pana.

— A więc, czego pan chce odemnie? — spytał agenta, powstrzymując się ostatkiem sił od omdlenia.

— Oto, — odpowiedział Fix, — goniłem pana Fogga, ale do tej pory nie otrzymałem rozkazu urzędowego z Londynu aresztowania go. Musi mi więc pan pomóc do zatrzymania go w Hong Kongu.

— Ja!

— A ja podzielę z panem nagrodę dwóch tysięcy funtów, przyrzeczoną mi przez Bank Angielski.

— Nigdy! — odpowiedział Passepartout, który chciał się podnieść, ale opadł z powrotem, czując, że siły go opuściły.

— Panie Fix, mówił on niewyraźnie, — chociażby wszystko to co pan mówił, było prawdą, gdyby nawet pan mój był tym złodziejem, którego pan szuka... byłem i jestem jego służącym... widziałem jego szlachetność i uczciwość... Nie zdradzę go nigdy, nigdy... za żadne skarby świata...

Pochodzę z wsi, gdzie się nie jada takiego chleba!... chleba zdrady...

— Odmawiasz mi pan?

— A więc pozostanie na tem, że nic nie było mówione, — powiedział zawiedziony Fix.

— I pijmy!

Passepartout czuł się coraz bardziej osłabiony przez picie.

Fix postanowił go za jakąbądź cenę odłączyć od pana Fogg, aby przeszkodzić powtórzeniu rozmowy, jak również opóźnić wyjazd.

Na stole leżały fajki z opjum. Fix wsadził jedną w rękę Passepartout, który wziął ją, zapalił, włożył do ust, wciągnął dym parę razy i opadł z głową opuszczoną na piersi, nieprzytomny.

— Nakoniec, — powiedział Fix, widząc sennego Passepartout, — Pan Fogg nie będzie uprzedzony o odpłynięciu parowca, a jeśli i pojedzie, to bez tego przekłętego Francuza!

I wyszedł, zapłaciwszy za poczęstunek.

ROZDZIAŁ XX.

Niespodziewane zniknięcie Passepartout. Wyprawa łodzią do Szangai. Fix towarzyszem podróży.

Podczas opisywanej wyżej sceny, pan Fogg w towarzystwie pani Andy, przechadzał się po ulicach angielskiego miasta.

Od czasu, kiedy pani Anda zgodziła się na wyjazd do Europy, zaczął myśleć o wszystkich drobiazgach, niezbędnych w podróży.

Bo, że on Anglik, objeżdżający świat, mógł wybrać się w podróż tylko z workiem podróżnym, to nic dziwnego, ale kobieta nie mogła w takich warunkach odbywać dalekiej podróży. Konieczność zakupienia ubrań i niezbędnych rzeczy, zajęła umysł Fogg'a, a gdy przy zakupach młoda kobieta oponowała przeciw rozrzutności dżentelmena, ten wciąż powtarzał jedno i to samo:

Jest to w interesie mojej podróży, i w moim programie.

Po skończonych zakupach weszli do jadalnej sali hotelu, gdzie zjedli obiad, poczem pani Anda, trochę znużona, udała się do swego pokoju, uściskawszy przedtem rękę swego wybawcy.

Pan Fogg zaś zatopił się cały w odczytywaniu Times'a i „Nowości Ilustrowanych“ Londyńskich. Ale, wiedząc, że parowiec odejdzie

z Hong Kongo dopiero nazajutrz rano, nie przygotowywał się do wyjazdu. Passepartout na dzwonek pana Fogg'a nie zjawił się wcale.

Co myślał dżentelmen, nie znalazłszy swego służącego, o tem nie wiedział nikt.

Pan Fogg wziął walizkę i poszedł szukać powozu.

Była godzina ósma, kiedy powóz zajechał przed hotel i kiedy pani Anda z panem Fogg zeszli na dół.

W pół godziny potem podróżni wysiedli nad brzegiem morza i dowiedzieli się, że parowiec odjechał poprzedniego dnia wieczorem.

Pan Fogg, który liczył niezawodnie na to, że znajdzie tu i parowiec i służącego, zawiódł się bardzo. Ale ani odrobiny zniecierpliwienia nie ukazało się na twarzy podróżnika, gdy zaś pani Anda patrzała na niego z niepokojem, rzekł:

— To wypadek tylko, proszę pani, nic więcej!

W tej chwili osobnik jakiś, który obserwował pana Fogg'a z zainteresowaniem, zbliżył się do niego. Był to inspektor policji Fix, który uklonił mu się i rzekł:

— Czy przypadkiem nie jest pan jednym z pasażerów, wczoraj przybyłych na Rangunie?

— Tak, panie, — odpowiedział chłodno pan Fogg, ale nie mam zaszczytu...

— Przepraszam pana bardzo, ale myślałem, że znajdę tu służącego pana.

— Czy nie wie pan, co się z nim stało? — spytała żywo młoda kobieta.

— Jakto? spytał Fix, udając zdziwienie, czyż nie znajduje się on z państwem?

— Nie, — odpowiedziała pani Anda, — od wczoraj nie wrócił. Czyżby wsiadł bez nas do parowca?

— Bez państwa? — powtórzył agent. — A czy państwo również liczyli na to, że pojedą tym parowcem?

— Tak, panie.

— Ja także jestem zrozpaczony z tego powodu. Karnatik naprawiony opuścił Hong Kongo odwanaście godzin wcześniej bez uprzedzenia nikogo, a teraz trzeba będzie czekać aż ośm dni na wyjazd!

Wymawiając te słowa; „ośm dni“ — Fix uczuwał w sercu ogromną radość. Ośm dni! Fogg zatrzymany przez ośm dni w Hong Kongu! Będzie miał czas na otrzymanie rozkazu aresztowania. Nakoniec zwycięży on, przedstawiciel prawa!

Któż pojmie przerażenie jego, gdy posłyszal, jak Fogg wypowiedział głosem spokoj-

nym te słowa: — przecież są inne parowce w porcie Hong Kongo.

I mówiąc to pan Fogg podał ramię pani Andzie i skierował się ku przystani.

Fix, złamany zawodem, postępował za nimi przybity.

Filip Fogg wprzeciągu trzech godzin przebiegał port, aby znaleźć statek do Jokohamy.

Wtem zaczepiony został przez jakiegoś marynarza:

— Czy szanowny pan szuka łodzi?

— Czy ma pan łódź, gotową do wyjazdu?

— Mam, proszę pana № 43 — najlepszą z całej flotylli.

— Czy prędko płynie?

— Bardzo szybko. Czy chce pan zobaczyć?

— Tak.

— Będzie pan zadowolony. Czy idzie o przejażdżkę morzem?

— Nie, o podróż.

— O podróż?

— Czy zobowiąże się pan przewieźć nas do Jokohamy?

Marynarz na te słowa opuścił ręce, oczy zabłysły mu zdumieniem.

— Czy pan ze mnie żartuje?

— Nie, opóźniłem się do Karnatika, a trzeba, żebym był czternastego najpóźniej



w Jokohamie, aby wyjechać parowcem do San Francisko.

— Żałuję mocno, — rzekł — ale jest to niemożliwe.

— Ofiaruję panu sto funtów za dzień i nagrodę dwustu funtów, jeśli przybędę na czas.

— Czy to na serjo? — spytał marynarz.

— Zupełnie serjo, — odpowiedział pan Fogg.

Marynarz odszedł na bok. Obejrzał morze, w rozterce pomiędzy chęcią zdobycia olbrzymiej sumy, a obawą zaryzykowania swego statku.

Fix był w śmiertelnej obawie.

Tymczasem pan Fogg zwrócił się do pani Andy.

— Czy nie boi się pani?

— Z panem niczego się nie boję.

Marynarz wrócił znów do pana Fogg'a i obracał kapelusz w rękę.

— A więc, panie marynarzu? — pytał Fogg.

— Nie mogę, proszę pana narażać ani swoich ludzi, ani siebie, ani pana, biorąc stątek o dwudziestu tonnach za ledwie i o tej porze roku.

Wreszcie i tak nie dojechalibyśmy na czas, gdyż do Jokohamy jest 1600 mil z okładem.

— Tysiąc sześćset tylko, — zauważył pan Fogg.

— To wszystko jedno.

Fix odetchnął spokojnie.

— Ale, — powiedział marynarz — jest może jeszcze inny sposób wyjazdu do Jokohamy.

Fix przestał oddychać.

— Jaki? — spytał Pan Fogg.

— Jadąc do Szangai na południe od Japonji. Nie oddalalibyśmy się od strony Chin, co byłoby znacznie bliżej.

— Marynarzu, — odezwał się Fogg, — do Jokohamy jechać muszę, nie zaś do Szangai.

— Czemu nie? — powtórzył marynarz — Parowiec do San Francisko nie wyjeżdża z Jokohamy, port jego jest w Szangai.

— Czy pan jest tego pewnym?

— Jaknajpewniejszy.

— A kiedy parowiec opuszcza Szangai?

— Jedenastego, o siódmej godzinie wieczorem. Mamy cztery dni przed sobą. Cztery dni to 96 godzin, a z możliwością przejeżdżania ośmiu mil na godzinę możemy, o ile morze

będzie spokojne, przejechać te ośmset mil, które nas oddzielają od Szangai.

— I może pan zaraz jechać?

— Za godzinę po zakupieniu żywności.

— A więc zrobione. Czy pan jest właścicielem statku?

— Tak. John Bunsby, właściciel Tankadery.

— Czy chce pan zadatek?

— O ile to nie przeszkadza panu...

— Oto dwieście funtów à conto... — Panie, — rzekł Fogg, obracając się do Fixa, — jeśli pan chciałby skorzystać...

— Panie, — odpowiedział Fix — proszę pana o tę łaskę.

— Dobrze. Za pół godziny będziemy na brzegu.

— Ale ten biedny chłopak... — odezwała się pani Anda, którą niepokoiła ogromnie nieobecność Passepartout.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby go odszukać, — rzekł pan Fogg. I podczas, gdy Fix zdenerwowany i wściekły szedł do statku marynarskiego, ci dwoje skierowali się do biura policji w Hong Kongu.

Tutaj Fillip Fogg przedstawił rysopis Passepartout i pozostawił dlań pieniądze na wyjazd.

To samo zrobiono w konsulacie francuskim, poczem powrócono na miejsce, gdzie złożone były rzeczy i po przeniesieniu ich na statek, wyruszono w podróż.

Obsługa statku składała się z czterech ludzi i właściciela. Byli to odważni marynarze, którzy znali morze i nie obawiali się puszcząć w podróż nawet wtedy, gdy pogoda nie sprzyjała.

Pan Bunsby, właściciel statku było człowiek lat czterdziestu pięciu, wysokiej postawy, silny, z żywym wejrzeniem, wrodzoną inteligencją i wzbudzający zaufanie w każdym.

Filip Fogg i pani Anda wyszli na brzeg, zanim nadszedł statek i spotkali oczekującego już Fixa.

Pan Fogg wprowadził go do pokoju kwadratowego z dywanem pośrodku, na którym stał stół z lampką. Było pokoik mały, ale czysty.

— Żałuję, że nie mam lepszego pokoju dla pana — rzekł grzecznie pan Fogg do agenta.

Ten skłonił się, nic nie mówiąc.

Inspektor policji odczuwał coś w rodzaju zawstydzenia, przyjmując usługę od człowieka, którego śledził.

O godzinie trzeciej uniosły się żagle. Sztandar angielski powiewał na szczycie stat-

ku. Pasażerowie usiedli na pokładzie. Pan Fogg i pani Anda rzucili ostatnie spojrzenie na brzegi, aby zobaczyć, czy nie widać przypadkiem Passepartout.

Fix miał sumienie niespokojne, obawiał się więc, czy Passepartout nie zjawi się w ostatniej chwili. Ale Francuz nie zjawił się, gdyż z pewnością odurzenie narkotyczne jeszcze nie przeminęło.

W końcu John Bunsby zakomenderował i statek popłynął szczęśliwie ku celowi.

ROZDZIAŁ XXI.

Ryzykowna jazda. Burza kończy się pomyślnie.

Była to awanturnicza podróż, ta wyprawa ośmiusetmilowa na barce o dwudziestu tonnach. Wogóle morza chińskie są niedogodne dla jazdy zwłaszcza w pierwszych dniach listopada, gdy dmą straszliwe wichry.

Ogromną odwagą ze strony marynarzy było wieść naszych pasażerów o takiej porze.

Podczas ostatnich godzin dnia, barka Tankadera szła, kołysząc się ciągle, potem znów spokojnie i lekko unosiła podróżnych.

— Niech szanowny pan nie obawia się wypadku, — odezwał się marynarz, — cho-

ciaż by nie wiedzieć jakie były wichry, dotrzemy do celu.

— To zawód pana, nie mój, panie marynarzu, ufam panu zupełnie.

Filip Fogg wyprostowany przyglądał się wciąż morzu. Młoda kobieta, usadowiwszy się na przodzie, poddała się nastrojowi wzruszenia, przyglądając się ogromowi morza, ocienionego przez zmrok.

Ponad jej głową powiewały białe żagle, podobne do skrzydeł ptaków. Zapadła noc. Księżyc w pierwszej kwadrze ukazał się na niebie i bladym światłem oblał niebiosy.

Ale zaraz po ukazaniu się księżyca chmury zaległy niebo i marynarz wydał polecenia co do zabezpieczenia barki na wypadek burzy.

Fix drzemał w pokoju i chwilami myślał o sprycie, z jakim Fogg wykręcił się od sąsiedzenia.

Ta podróż naokoło świata, to wspaniałe pomysł złodziejski!

Zaś Fillip Fogg myślał o swym służącym, tak dziwnie zaginionym. Miał jednakże wrażenie, że biedny chłopak w ostatniej chwili wskoczył do Karnatika i odpłynął. To samo myślała i pani Anda, która żałowała bardzo uczciwego Passepartout. Pocieszali się nadzieją, że znajdą go może w Jokohamie.

Tymczasem barka posuwała się doskonale, a o dwunastej Fogg i młoda kobieta poszli do swoich kajut.

Fix uprzedził ich, kładąc się już o wiele wcześniej, co zaś do marynarza i jego robotników, to ci spoczęli na pomoście.

Nazajutrz 8-go listopada ze wschodem słońca, zrobiono już sto mil.

Barka dosięgła maximum szybkości. Jeśliby powiał wiatr przychylny, mogła przybyć wcześniej niż obiecano.

Pan Fogg i pani Anda zajadali konserwy i biszkopty, nie podlegając zupełnie morskiej chorobie.

Fix został również zaproszony na ucztę i przyznać trzeba, że zajadał z ogromnym apetytem. Żenowało go to trochę, bo i jakże? Korzystać z grzeczności człowieka, którego się śledzi i którego się chce aresztować, to nie-miłe.

Gdy zakończono jedzenie, chciał wziąć pana Fogg'a na stronę, wreszcie wyszeptał:

— Panie...

To słowo „panie“ dusiło go w gardle i zaledwie powstrzymał się od ujęcia tego pana za kołnierz.

— Panie, — odezwał się głośniejszym głosem, — byleś pan bardzo uprzejmym, biorąc mnie na wy-

najętą przez siebie barkę, ale pozwól, że zapłacę ci część wydatku...

— Nie mówmy o tem, — odpowiedział pan Fogg.

— Ale, jeśli ja mogę...

— Nie, panie, — odpowiedział dżentelmen tonem, który nie znosił opozycji — zdarzają się przysługi bez zapłaty.

Fix zamilkł i nie mówiąc już nic do końca dnia, położył się i usnął.

Tymczasem jechano bardzo szybko. John Bunsby miał jaknajlepsze nadzieje. Powtarzał wciąż panu Fogg, że przyjadą do Szangai na czas oznaczony. Cała załoga pracowała z gorliwością, nadzieja nagrody, którą mieli otrzymać, podwajała ich zabiegi. Ale nazajutrz zjawiły się oznaki zbliżającej się burzy.

Marynarz podszedł do pana Fogg'a i powiedział.

— Czy mogę mówić z panem szczerze?

— Bardzo proszę.

— A więc będziemy mieli silny atak wichru.

— Z północy czy z południa?

— Z południa. Widzi pan. Przygotowuje się tajfun.

— Nie zaszkodzi nam tajfun południowy, jeśli zawieje z pomyślnej strony.

— Jeśli pan tak uważa, nie mam nic do nadmienienia.

Przeczucia marynarza sprawdziły się. W innej porze roku tajfun mógł być niebezpieczny, jednak w porze zimowej mógł przejść bez wielkiego hałasu i strat.

Marynarz przedsięwziął środki przeciw temu szkodnikowi, kazał przymocować żagle, jeden tylko żagiel trójkolorowy rozwiewał się nad barką.

John Bunsby poprosił pasażerów, żeby zeszli do kajut, ale wszyscy woleli zostać na pomoście.

Koło ósmej spadła straszliwa ulewa z wichrem. Barka podniesiona została, jak piórko do góry, poczem unoszona wichrem, gnała na północ. Żadna lokomotywa nie dorównałaby jej w szybkości.

Parę razy groziło jej porwanie przez fale i zatopienie w głębi morza, ale zawsze umiejętne pchnięcie marynarza w porę oddalało katastrofę.

Fix kłął ciągle i wyrzekał, ale pani Anda, zapatrzona w spokój pana Fogga, nie bała się również i okazała się godną jego towarzyszką.

ROZDZIAŁ XXII.

Passepartout odurzony wypalonym opjum jedzie sam bez swego pana.

Karnatik, opuściwszy Hong Kongo 7 listopada o wpół do siódmej wieczorem, skierował się całą siłą pary ku ziemiom Japonji. Wiózł on z sobą mnóstwo pasażerów i dużo towarów. Dwie przednie kajuty były niezajęte. Były to kajuty, które zamówił Passepartout dla Filipa Fogga i jego towarzyszki.

Nazajutrz rano ludzie pracujący u kadłuba okrętu ujrzeni ze zdziwieniem wychodzącego na pokład człowieka o oku zamglonem, chodzie chwiejnym i twarzą wybladłą.

Człowiek ten usiadł na ławce na pokładzie i zdawało się, iż czeka na kogoś.

Człowiekiem tym był Passepartout. Posłuchajmy, co się z nim stało.

W kilka minut po opuszczeniu przez Fixa karczmy, dwóch chopców wzięło Passepartout na ręce i zanieśli go na łóżce, gdzie spało już wielu palaczy.

Ale w trzy godziny później, Passepartout trapiiony przykremi snami, wyteżył całą siłę woli, żeby powstać.

Obowiązek zawiadomienia pana Fogg'a o zmianie pory wyjazdu, podniósł go na nogi.

Opuścił więc pijackie łóżko i zataczając się na nogach, opierając się o mury, to wstając, to padając z powrotem, wyszedł z palarni, krzycząc jakby we śnie, Karnatik! Karnatik!

Parowiec stał gotów już do podróży, gdy wbiegł Passepartout i padł nieprzytomny na pokład.

Parowiec wyruszył tejże chwili, a kilku marynarzy podbiegło do biednego chłopca i zniosło go do kajuty drugiej klasy.

Passepartout obudził się dopiero na drugi dzień rano, o sto pięćdziesiąt mil od Chin.

I oto powód, dla którego Passepartout znalazł się tego ranka na pokładzie, wdychając pełną piersią świeże powietrze morza.

Zaczęło mu się już rozjaśniać w głowie i nawiedziły go smutne myśli.

Przypominał sobie pijatykę z Fixem, palarnię ect.

— Nie do zaprzeczenia jest, że wpadłem fatalnie!

Co powie pan Fogg? W każdym razie wszak nie spóźnił się na parowiec, a to najważniejsze!

— Co do Fixa,—myślał Passepartout,—to napewno uwolniliśmy się od niego, po tem, co mi proponował.

Inspektor policji, detektyw, śledzący mego pana, oskarżonego o kradzież w banku.

Patrzajcie! Pan Fogg jest takim samym złodziejem, jak ja mordercą!

Passepartout namyślał się, czy ma o tem powiedzieć swemu panu?

W końcu postanowił dopiero w Londynie opowiedzieć mu o tem, że tropił go agent śledczy. Naśmieją się wtedy do syta!

Ale teraz najważniejszą rzeczą było wyszukać pana Foggę i przeprosić go.

Passepartout wstał z ławki i poszedł zobaczyć, czy pan jego śpi jeszcze.

Na pomoście nie zobaczył ani pana Foggę, ani pani Andy.

— Naturalnie, pani Anda śpi jeszcze o tej porze, a co do pana Foggę, to napewno gra sobie w wista...

To mówiąc, chłopak wszedł do sali, ale i tam nie było pana Foggę.

Passepartout pozostało teraz jedno, spytać się, którą kajutę zajął pan Fogg.

Odpowiedziano mu wówczas, że niema na okręcie osoby tego nazwiska.

— Przepraszam pana — rzekł Passepartout.

Chodzi mi o jednego dżentelmena, wysokiego, chłodnego, mało udzielającego się, w towarzystwie pewnej młodej damy.

— Nie mamy żadnej damy na parowcu. Zresztą przeczytaj pan listę pasażerów. Oto ona.

Passepartout przebiegł oczyma listę. Nie, rzeczywiście, nie było na niej nazwiska jego pana.

Uderzyło to w niego gromem. Potem przyszła mu myśl do głowy.

— Ach! czy jestem na Karnatiku? — wykrzyknął.

— Tak, — odpowiedział posługacz.

— W drodze do Jokohamy?

— Tak.

A więc był na Karnatiku, ale pana jego nie było!

Passepartout upadł zrozpaczony na fotel.

Zrozumiał teraz, że był pijany i nie doniósł panu Fogg o tem, że parowiec wyjeżdża wcześniej. Z jego powodu nie znajduje się tu jego pan i pani Anda.

Była to jego wina, ale większy wszak był występек zdrajcy Fixa, który, aby rozłączyć go z panem, użył podstępu i spoił go tak okropnie.

Teraz biedny pan Fogg zostanie zrujnowany przez niego. Nie wygra zakładu, a może będzie uwięziony.

Na tę myśl Passepartout wyrywał sobie włosy z głowy.

Ach! gdyby teraz Fix dostał się w moje ręce, załatwiłbym z nim rachunki!

Po wybuchach rozpaczcy nastąpiła refleksja i Passepartout zaczął rozglądać się w sytuacji nie była do pozazdroszczenia.

Francuz znajdował się w drodze do Japonji. Pewny był, że dojedzie, bo drogę miał z góry zapłaconą, nie wiedział jednak, jak wróci do Londynu.

Kieszeń była pusta, z czego więc żyć będzie i jechać?

Teraz jeść będzie za siebie, panią Andę i pana Fogga, a potem?

Trzynastego parowiec dopłynął do portu Jokohama.

Passepartout przygnębiony wyszedł na miasto i, nie znając go, zaczął iść główną ulicą.

Znalazł się wkrótce w europejskiej dzielnicy o wysokich domach z werandami.

Tutaj, jak i w Hong Kongu spacerowali Amerykanie, Anglicy, Chińczycy, Holendrzy, kupcy, mający różne towary do sprzedania.

Wśród tych ludzi Passepartout czuł się tak obcym, jakby przeniesiony był do kraju Hottentotów.

Miał on jedno tylko wyjście: udać się do konsulatu francuskiego, albo angielskiego w Jokohamie, lecz w takim razie musiałby opo-

wiadać całą historję o swym panu, postanowił przeto probować innych środków do wybrnięcia z tej biedy.

Idąc i szukając okazji zarobienia na życie i wyjazd, zaszedł do innej dzielnicy miasta zwanej Benten, na cześć jakiejś bogini morza tejże nazwy.

Zobaczył tu prześliczne aleje z jodeł i cedrów, wrota święte jakiejś dziwnej budowli, mosty, ukryte między bambusami i krzewami róż, świątynie na wspaniałych cedrowych wzgórzach, meczety, w których mieszkali buddyści i sekciarze, wyznawcy Konfucjusza.

Widział szerokie ulice, na których bawiły się dzieci o różowej cerze i ponsowych ustach mali ludzie, jakby wycięci z jakiegoś obrazu, pieski o krótkich nogach i żółtawe koty, bez ogona, bardzo leniwe i bardzo wypieszczone.

W ulicach wrzało, jak w mrowisku, szli bonzowie z bębnami, oficerowie o kapeluszach śpiczastych z szablami za pasem, żołnierze, ustrojeni w niebieskie mundury z fuzjami, wojownicy mikada w jedwabiach, pielgrzymi w długich szatach, cywilni, z dużymi głowami o włosach koloru hebanu, o twarzach malowanych na białe, nie na żółte, jak u Chińczyków.

Między tłumem spotkać było można kobiety nieładne, stąpające drobnym krokiem, w bucikach z płótna, słomy lub drzewa, z oczami skośnemi, płaską piersią, uczernionemi zębami w eleganckich strojach, zwanych kimono, przepasanych szeroką szarfą.

Passepartout spacerował sobie, przyglądając się sklepom, bazarom, restauracjom, herbaciarniom, w których pijano aromatyczną herbatę z saki, tj. syropem wyciągniętym z ryżu, i palarniom, gdzie nie pali się opjum, jak u Chińczyków, lecz bardzo delikatny tytuń.

W końcu Passepartout znalazł się wśród pól, obsianych ryżem.

Tutaj pomiędzy polami rosły przepyszne purpurowe kamelje, nietylko na krzewach, lecz i na drzewach, wiśnie, śliwki, jabłka, które Japończycy hodują nie tyle dla owoców, ile dla kwiatów.

Cedry majestatyczne, wierzby płaczące okalały drogi, nadając uroczysty wygląd tym wszystkim cudom natury.

Pozatem widzieć tu było można mnóstwo kruków, kaczek, jastrzębi, dzikich gęsi i wielką ilość zórawi, które w Japonji są symbolem długowieczności i szczęścia.

Błędząc tak, Passepartout spostrzegł wśród trawy kilka fijołków.

— Dobrze! — zawołał, — oto będzie mój obiad!

Ale powąchawszy, przekonał się, że nie mają one żadnego zapachu.

— Nie uda mi się nawet żyć zapachem! — pomyślał.

W rzeczywistości, biedny chłopak był bardzo głodniały.

Tego dnia, co przyjechał, jadł bardzo wiele, ale błędząc cały dzień po ulicach, poczuł dotkliwy głód.

Z radością zjadłby kuropatkę, sarnę a nawet rybę, ulubiony przysmak Japończyków, ale nie miał sposobu zarobić na obiad.

Postanowił czekać do jutra. A nuż się uda?

Zapadła noc. Ulice opustoszały, przechodzili tylko niekiedy wojskowi i rybacy, dążący na nocny połów ryb.

ROZDZIAŁ XXIII.

Passepartout przebiera się za Japończyka i idzie do cyrku. Odnalezienie pana Fogga.

Nazajutrz Passepartout, znużony, wygłodniały, postanowił coś zjeść za wszelką cenę.

Zdecydował się na sprzedaż zegarka, aby móc coś kupić do zjedzenia, ale potem rozmyślił się.

Nie, za nic na świecie! — powiedział, — raczej umrzeć!

Naraz inny sposób zdobycia pieniędzy uśmiechnął się francuzowi!

Umiał on wygrywać i śpiewać różne pieśni francuskie i angielskie.

Japończycy są bardzo muzykalni, lubią muzykę i śpiew, wszystko u nich odbywa się przy dźwiękach bębna, lub brzęku cymbałów.

Ale może pora była za wczesna na przedstawienia muzyczne i mieszkańcy obudzeni jego muzyką, z gniewu, że im spać przeszkodził, nie dadzą mu ani jednej monety.

Passepartout postanowił czekać jeszcze kilka godzin.

Zużytkował ten czas na zmianę swej garderoby.

Jego dotychczasowe ubranie było o wiele kosztowniejsze, niż japońskie, postanowił więc zamienić swoje na cudzoziemskie, a resztę, jaką otrzyma z zamiany, wydać na pożywienie.

Jak pomyślał, tak zrobił.

Poszedł do jakiegoś handlarza ubraniami, tam dano mu ubranie japońskie wzamian za

jego wspaniały garnitur i trochę srebrnych pieniędzy.

Passepartout, przebrany w suknie japońskiej, wyruszył do jakiejś taniej garkuchni, gdzie dostał resztę pozostałej z dnia poprzedniego pieczeni i wyborną herbatę.

Nasyciwszy się, z większą już energją poszedł szukać zarobku.

Naraz oczy jego padły na wspaniały kolorowy afisz.

Afisz ten oznajmiał, że tego wieczoru ma się odbyć nadzwyczajne, ostatnie przed wyjazdem przedstawienie w słynnym cyrku Wilhelma Batulkara.

Na przedstawienie składać się mają obrazy, zwane „Długonosy“...

Cyrk ogłaszał, że po tem przedstawieniu wyruszy do Stanów Zjednoczonych Ameryki.

— Do Stanów Zjednoczonych Ameryki! — zakrzyknął radośnie Passepartout, — tego mnie właśnie potrzeba!

Poszedł więc za człowiekiem, który obnosił ów afisz i w kwadrans po tem był już przed olbrzymią szopą, na której uczepiono mnóstwo różnokolorowych chorągiewek, w środku zaś widać było pstro odzianych clownów.

Był to budynek dyrektora Batulkara.

Passepartout przeszedł jakiś przedsiomek i spytał o dyrektora.

Ten ostatni zjawił się natychmiast, zapytując, czegoby sobie życzył?

— Czy nie potrzebuje pan służącego? — zapytał.

— Służącego! — zawołał dyrektor, gładząc swą siwą brodę, — mam ich aż dwóch, posłusznych i wiernych, a służą mi bezpłatnie, jedynie za pożywienie.

Oto oni! — dodał, ukazując dwoje muskularnych rąk.

— A więc nie przydam się panu na nic?

— Na nic.

— A do diabła! Takbym pragnął z panem pojechać.

— Ach! tak — odpowiedział Batulkar — pan jesteś takim samym Japończykiem, jak ja małpą! Pocóż się pan tak ustroił?

— Ubiera się każdy, jak może!

— To prawda! Czy jest pan Francuzem?

— Tak, Paryżaninem.

— W takim razie umie pan wykonywać sztuki?

— Naturalnie, ale nie lepiej od Amerykan.

— Racja! A więc wezmę pana za clowna. Czy zgadzasz się, mój dzielny chłopcze?

Ach!

— Czy jest pan wesołego usposobienia?

— O tak, zwłaszcza kiedy odchodzę od stołu.

— A umiesz pan śpiewać?

— Umiem — odpowiedział Passepartout.

A więc przyjmuję pana.

Passepartout nakoniec znalazł zajęcie.

Zaangażowany był do wszelkich sztuk w sławnej japońskiej trupie.

Nie było to dla niego zaszczytne, ale za ośm dni zapewniony miał wyjazd do San Francisco.

O godzinie trzeciej rozpocząć się miało widowisko, złożone z długonosych.

Naturalnie, Passepartout nie potrafiłby niczego teraz wykonać samodzielnie, gdyż czasu nie starczyło na przygotowanie, ale miał być podporą długonosych. Na jego to silnych barkach miały się oprzeć długonose istoty i w ten sposób utworzyć jakby grono winogron.

Zaczęły już grać trąby, bębnić bębny, a widzowie zaczęli się gromadzić.

Pełno było w sali Europejczyków, Chińczyków, Japończyków, mężczyzn, kobiet i dzieci. Wszyscy siadali na szerokich ławkach, lub w łóżach.

Przedstawienie było takie, jak i we wszystkich cyrkach, ale przyznać trzeba, że

Japończycy są najzręczniejszymi i najbieglejszymi akrobatami w sztukach.

Jeden np. trzymając w ręku wachlarz i kawałki papieru, obracał niemi tak zręcznie, iż wywoływały złudzenie, prawdziwych motyli i kwiatów.

Drugi z błękitnego dymu wypuszczanego ze swej fajeczki, wypisywał pochlebne wyrazy dla publiczności.

Trudno opisać wszystkie nadzwyczajne sztuki, pokazywane w cyrku japońskim, ale najważniejszą z nich miała być scena, zatytułowana „Długonosy“, nieznana dotąd i niebywała.

Te Długonosy tworzyły związek specjalny pod rządem bożka Tengu.

Ubrani jak bohaterowie wieków średnich, na ramionach mieli olbrzymie skrzydła.

Ale wyróżniało ich od wszystkich dotąd znanych clownów to, że mieli ogromne nosy.

Nosy te były bambusem, długim na pięć, sześć i dziesięć stóp, jedno proste, drugie krzywe, tamte znów do góry zadarte.

Dwunastu długonosych leżało na plecach, a koledzy ich wyprawiali różne skoki na ich nosach.

Na zakończenie przedstawienia oznajmiono publice, że ukaże się ludzka piramida, z pięćdziesięciu Długonosych złożona. Miał to być tak zwany wóz Jaggernota.

Ale zamiast utworzyć piramidę z oparcia się na plecach lub ramionach, utworzono ją w ten sposób, że opierano się na nosach.

Jeden z tych, który wchodził w skład Długonosych, opuścił trupe, na jego miejsce wszedł więc Passepartout.

Biedny chłopak był złamany na duchu, musiał bowiem wziąć skrzydła i nos bambusowy, jak i drudzy, co go poniżało we własnych oczach, ale cóż było robić? Nos ten był to jedyny środek do życia!

Passepartout wszedł na salę i miał utworzyć wraz kilku kolegami podstawę piramidy.

Wszyscy ci wyciągnęli się na podłódze z nosami, wysuniętymi do góry.

Druga grupa oparła się na nich nosami, trzecia na tamtych i t. d.

Podziw był powszechny, ale doszedł do najwyższego stopnia, gdy piramida zachwiała się, jeden z postawy ubył, i jak domek z kart za lekkim podmuchem, runęli wszyscy na ziemię.

Sprawcą tego był Passepartout, który nagle opuścił swe stanowisko, przeskoczył balustradę, oddzielającą scenę od widzów i rzucił się do prawej galerji, padając do nóg pewnego widza i wołając:

— Ach! mój pan! mój pan!

— To ty?

— To ja!

— A więc, w takim razie, do parowca, mój chłopcze!...

Pan Fogg, pani Anda i Passepartout wyszli przez korytarze, chcąc wydostać się z budy cyrkowej, ale spotkali tam rozgniewanego pana Batulkara, który twierdził, że utracił cały dochód, z powodu Passepartout.

Pan Fogg uśmierzył jego gniew, rzucając mu garść banknotów.

I o godzinie wpół do siódmej weszli wszyscy na parowiec, Passepartout ze skrzydłami i sztucznym nosem, których zdjąć już nie było czasu.

ROZDZIAŁ XXIV.

Przebycie połowy zamierzonej drogi. Podróżni w Jokohamie.

Filip Fogg zdążył do Jokohamy, gdyż okręt jadący z Szangai spostrzegł miotaną burzą łódź i w kilka minut potem zabrał wszystkich na okręt.

Przybywszy tego samego ranka, 14 listopada, pan Fogg wyruszył zaraz do biura policyjnego i tam ku wielkiej swej i pani Andy radości, dowiedział się, że Jan Passepartout

przyjechał dzień przedtem do Jokohamy. Pan Fogg zabrał się więc do odszukania swego służącego. Był w konsulacie, w biurach, ale nikt nie wiedział, co się z nim stało.

Przebiegłszy wszystkie ulice Jokohamy, zrozpaczony, wszedł do budy cyrkowej.

Nie poznałby napewno w tem przebraniu swego służącego, ale Passepartout, leżąc na wznak z głową do góry wzniesioną, spostrzegł swego pana na galerji. Z opowiadań pani Andy dowiedział się Passepartout, że Fix towarzyszył im w podróży, i że jedzie z nimi dalej.

Na samo imię Fixa, Passepartout nawet nie drgnął.

Postanowił nie mówić jeszcze nic o nim, przyznał się tylko do palenia opjum w palarni i prosił pana Fogg'a o przebaczenie.

Pan Fogg wysłuchał obojętnie opowiadania, potem kazał mu iść i kupić sobie odpowiedniejsze ubranie.

Po upływie godziny Passepartout ukazał się przebrany, już bez skrzydeł i nosa sztucznego.

Parowiec, wiozący podróżnych z Jokohamy do San Francisco należał do Towarzystwa „Pacyfic Mail steam“ i nazywał się „General Grant“.

Pasażerów było na nim bardzo dużo, przeważnie Anglików i Amerykan.

Podczas tej podróży nie zdarzył się żaden szczególny wypadek.

Parowiec szeroki, oparty na dużych kołach szedł równo, nie kołysząc się prawie po Oceanie Spokojnym, który w zupełności na to miano zasłużył. Pan Fogg był wciąż milczący i jak zwykle, nie zawierał znajomości.

Młoda jego towarzyszka czuła coraz większe przywiązanie do tego człowieka, nie były to już tylko węzły wdzięczności. Cicha i szlachetna natura pana Fogg wywarła na niej ogromne wrażenie, które nie umniejszało się bynajmniej wobec obojętności Fogg.

Pani Anda, interesowała się ogromnie podróżą pana Fogg i często rozmawiała o tem z Passepartout, niepokojąc się, czy na termin przyjadą!

Passepartout czytał w jej sercu i uspokoił ją, mówiąc, że co najgorsze, jest już przeszłością. Teraz bez przygód wróć na wyznaczony termin do Londynu.

W dziewięć dni po opuszczeniu Jokohamy, Filip Fogg przebył połowę podróży naokoło świata.

Dalsza droga była prosta, i spodziewał się w 28 dni dojechać do Londynu.

Ale gdzie był teraz Fix?

Oto ni mniej ni więcej, na pokładzie „Generała Granta.“

Opuściwszy pana Fogga w Jokohamie, pobiegł do konsula angielskiego i tam znalazł nareszcie ów rozkaz aresztowania pana Fogga.

Niestety jednak rozkaz ten był opóźniony o dni czterdzieści! Gonił on detektywa po całym świecie, aż nareszcie tenże sam Karnatik, którym miał on jechać i opóźnił się, wiozł ów rozkaz spóźniony. Detektyw był zrozpaczony. Filip Fogg przejechał już posiadłości angielskie, jest bezpieczny!

— Trudno! — mówił do siebie Fix po pierwszym wybuchu gniewu.

Złapię go w Anglii, gdy będzie wracał. Nicpoń ten czuje się spokojny, zdaje mu się, że oszukał policję. Dobrze. Jechać będę z nim wszędzie. Co do pieniędzy, to nie wiem, czy mu co pozostanie. Tak hojnie rozrzuca jałmużny, nagrody, kupuje słonie etc.

Przybywszy do „Generała Granta“ Fix ku wielkiemu swemu zdziwieniu zobaczył Passepartout w kostjumie Długonosego. Skrył się nawet do swej kajuty i starał się nie pokazywać, aby uniknąć spotkania.

Ale tegoż wieczora spotkał się oko w oko ze służącym pana Fogga.

Passepartout rzucił się na inspektora policji i zadał mu taki cios, że ten runął na ziemię, jak długi.

Kiedy się podniósł, spojrzał na swego przeciwnika i spytał:

— Czy już koniec?

— Tak, ale tylko na minutę!

— A więc proszę za mną.

— Po co?

— W interesie pana Fogga.

Passepartout zwyciężony zimną krwią detektywa, poszedł za nim i usiadł przy stole.

— Pobijeś mnie pan, — rzekł Fix. — Dobrze. Teraz posłuchaj. Do tej pory byłem przeciwnikiem pana Fogga, teraz to prze-minięło.

— Nakoniec! — wykrzyknął Passepartout, — wierzy więc pan, że to człowiek uczciwy.

— Nie, — odrzekł mu zimno Fix, — wierzę, że jest łotrem... Cicho! Daj mi pan mówić!

Dopóki pan Fogg był na ziemi angielskiej, miałem w tem cel, żeby go zatrzymać i aresztować, jak przyjdzie rozkaz.

Wszystko robiłem, co było w mojej mocy, aby to osiągnąć.

Nasłałem na niego kapłanów w Bombaju, spoilem pana w Hong Kongu, rozłączyłem pana z nim.

Passepartout słuchał z zaciśniętymi pięściami.

— Teraz, o ile mi się zdaje, pan Fogg wraca do Anglii. Dobrze! Jadę za nim, ale

przeszkadzać mu już nie będę. Teraz idzie mi o to, żeby był prędzej na terenie Anglii.

Passepartout słuchał bardzo uważnie słów agenta, ale sądził że Fix robi to wszystko w błędnem przekonaniu i że wkrótce tego pożałuje.

— Czy jesteśmy przyjaciółmi? — pytał agent.

— Przyjaciółmi nie, — odparł Passepartout, — za najmniejszą zdradę z pana strony, uduszę pana!

— Dobrze, — rzekł spokojnie Fix.

W jedenaście dni potem, 3-go grudnia, „General Grant“ przybił do Złotego Portu w San Francisco.

Pan Fogg dotąd ani stracił, ani zyskał nawet jednego dnia.

ROZDZIAŁ XXV.

Passepartout przestrasza krzykiem ptaki.

Sprzecзка z Amerykaninem.

Była godzina siódma rano, kiedy pan Fogg, pani Anda i Passepartout wyszli na ląd amerykański, — jeśli można nazwać lądem to miejsce, na które wylądowali.

Passepartout, z radości, że dotknął nareszcie brzegów amerykańskich, wyskoczył



z barki, a że deski były przegniłe, noga wpadła mu w otwór. Ze strachu narobił takiego hałasu i krzyku, że aż kormorany i inne morskie ptaki, które gnieździły się na brzegach morza, uciekały z przerażenia.

Pan Fogg wysiadłszy na brzeg, poszedł zaraz dowiedzieć się, o której godzinie odjeżdża pociąg do Nowego Jorku.

Odchodził o godzinie szóstej wieczorem, pozostawał więc cały dzień do obejrzenia miasta. Kazał przeto zawołać powóz, do którego wsiadł z panią Andą, Passepartout usiadł na kozle i powóz ruszył do hotelu Międzynarodowego. Kiedy Passepartout zajechał przed hotel, zdawało mu się, że jest jeszcze w Anglii.

Przedsionek hotelu zajęty był przez olbrzymi bar, rodzaj bufetu, gdzie każdy mógł jeść gratis, co mu się ogromnie podobało: biskopki, wędliny, zupę z ostryg. Płatne były tylko trunki.

Restauracja hotelu była wspaniała. Pan Fogg z panią Andą zasiedli do stołu, gdzie przynoszono im wyborowe potrawy na lilipucich półmiskach.

Usługiwali im murzyni.

Po śniadaniu Filip Fogg z panią Andą opuścili hotel i udali się do konsula angielskiego dla wizowania paszportu. Na chodniku spotkał Passepartout, który pytał swego pana,

czyby nie zakupić trochę karabinów albo rewolwerów. Słyszał bowiem, że czasem dzicy napadają na pociągi.

Pan Fogg powiedział, że jest to zbyt cenne, ale, że może kupić, jeśli sobie tego życzy.

Filip Fogg nie zrobił jeszcze dwustu kroków, kiedy naraz spotkał Fixa, który udał wielkie zdumienie na widok swego znajomego z podróży.

Jakto? jechali razem i nie spotkali się? Teraz wraca do Europy, gdyż ważne interesy go tam wzywają i rad, że będzie miał tak miłe towarzystwo.

Pan Fogg odpowiedział, że zaszczytem będzie dla niego podróżowanie z panem Fixem i tak mówiąc sobie grzeczności, poszli oglądać miasto.

W głównej ulicy posłyszeli jakiś zgiełk, krzyki, wywoływanie dwóch nazwisk. Zrozumieli, że to zebranie.

Odeszli więc na stronę i usiedli na schodkach.

Naraz cały ten tłum rzucił się w ich stronę. Zaczęła się bójka na dobre, latały w powietrzu buciki, kije, zjawily się nawet w rękach rewolwery.

Pan Fogg, pani Anda i Fix wstali, żeby odejść, ale w tem tłum runął na nich i dostało się im parę ciosów.

Ochraniając panią Andę i pana Fogga, Fix dostał porządnie pięścią.

— Yankes! — odezwał się pan Fogg z pogardą.

— Anglik! — odpowiedział mu przeciwnik.

— Wynajdę pana! — rzekł Fogg!

— Imię pana?

— Filip Fogg, a pana?

— Kolonista Proctor.

Tłum rozszedł się, Fix zaś podniósł się z ziemi pobity i w poszarpanej odzieży, Fogg także miał ubranie podarte.

Musieli iść do magazynu i kupić nowe garnitury.

O szóstej godzinie wieczorem podróżni wyjechali do Nowego Jorku.

ROZDZIAŁ XXVI.

Podróż po wspaniałych ziemiach Ameryki.

Pochód stada bizonów hamuje dalszą drogę.

Wagon, zajęty przez pana Fogga, był rodzajem długiego omnibusu, opierającego się na czterech kołach. Wewnątrz mieściła się bez żadnego komfortu mała toaleta tylko dla dam, i druga dla mężczyzn. Przez całą długość wagonów, można było sobie spokojnie

spacerować, przejścia z jednego wagonu do innych były zupełnie bezpieczne.

Były tam i wagony restauracyjne i salony i kawiarnie, brakło tylko teatru.

Ale urządzono wkrótce widowisko, które i ten brak zastąpiło w zupełności.

W przejściach krążyli wciąż handlarze książek i pism, zachwalający swój towar i kupcy, sprzedający likiery, cygara, wodę gazową i t. p.

Podróżni wyruszyli ze stacji Okland o godzinie szóstej wieczorem. Była już noc, noc zimna, ciemna, z niebem zasnutem chmurami, zapowiadającymi lada chwila śnieg. Pociąg szedł z niewielką szybkością, rozmawiano w wagonie wesoło, dopóki sen nie skleił oczu podróżnych.

Passepartout siedział obok Fixa, ale nie rozmawiał z nim zupełnie. Od ostatniej rozmowy z nim stosunki ich bardzo ochłodziły. Zanikła wzajemna sympatja i zaufanie.

Fix nie zmienił w niczem swego postępowania, ale Passepartout trzymał się zdala od agenta i gardził nim.

W godzinę po wyruszeniu pociągu, spadł śnieg, — śnieg drobny, który nie mógł zaszkodzić szybkości pociągu.

O godzinie ósmej wszedł urzędnik kolejowy i oznajmił, że czas układać się do snu. Był-

to bowiem wagon sypialny, który w kilka minut zamienił się na sypialnię.

Uniesiono w górę ławki, a za ich poruszeniem, wyskoczyły ukryte we wnętrzu poduszki i każdy z podróżnych miał do swej dyspozycji wygodne łóżko, osłonięne w dodatku firanką. Prześcieradła były bardzo czyste, poduszki miękkie.

Pozostawało tylko położyć się i usnąć, co też każdy z przyjemnością uczynił.

Wyjeżdżając z Sacramento, pociąg przejechał olbrzymie Sierra Newada i zatrzymał się na minutę na stacji Cisco. W godzinę potem sypialnia zmieniła się znów w zwykły wagon i podróżni przyglądać się poczęli górzystym krajobrazom.

Droga była fantastyczna i urozmaicona.

Tu góry, tam przepaście, tam znów most nad rzeką.

Pociąg spuszczał się, to znów wznosił na wzgórza.

Gwizd olbrzymiej lokomotywy mieszał się z hukiem wodospadów i potoków, koło których, lub nad którymi przejeżdżali nasi podróżni.

Zamęt, hałas, szybki bieg pociągu łączył się z poświstem wichrów i uderzeniami kół o skały, wyżłobione na tunel.

Okolo godziny dziewiątej, przez dolinę Karson, pociąg wpadł do Stanu Newada, zawsze kierując się ku północo-wschodowi.

W południe zatrzymali się w Reno, gdzie podróżni spożyli śniadanie.

Od tego punktu droga szła wciąż na północ, poczem skierowała się na wschód.

Po śniadaniu pan Fogg i pani Anda zajęli znów swe miejsca w wagonie.

Przyglądali się oni przepysznym widokom, które przebiegały przed ich oczyma, a więc obszernym łąkom, górą i wodospadom, rzucającym w przepaście swe pieniste wody.

Czasem widać było stada bizonów, które bardzo często zatamowują przejsie pociągom i stają się powodem katastrofy. Teraz również stado, składające się z jakichś dziesięciu do dwunastu tysięcy sztuk przechodziło przez szyny. Lokomotywa nie odstrasza ich zupełnie swym gwizdem, trzeba było więc czekać, aż przejdą.

Bizony przechodziły wolno, wydając od czasu do czasu jakieś beczenie i cichy ryk. Miały one postawę wyższą od zwykłych byków, nogi i ogon krótkie, na plecach garb, rogi zakrzywione, głowę, szyję i plecy, pokryte długą sierścią.

Ani sposób było powstrzymać tych bizonów w ich marszu. Był to potok żywych ciał,

którego się nie da zahamować w biegu. Po-
dróżni, rozproszeni w przejściach, przyglądali
się temu widowisku.

Ale Filip Fogg siedział spokojnie, nie de-
nerwując się bynajmniej tą przeszkodą w po-
dróży.

Passepartout był wściekły na bizona, że
opóźniają przybycie do celu, i chciał użyć re-
wolweru na przerwanie pochodu.

— Cóż to za kraj! — wołał w pasji, —
zwykle byki zatrzymują pociągi! Idą sobie
procesjonalnie, ani myśląc uciekać przed lo-
komotywą.

Ciekawym, czy pan Fogg przewidział ta-
ką przeszkodę!

A i ten niezdara maszynista, żeby bać
się puścić pociąg na bestję!

Maszynista nie myślał walczyć z bizonami
i miał rację

Rozbiłby zapewne pierwsze szeregi zwie-
rząt, ale nie mógłby przemóc dalszych i loko-
motywa napewno byłaby zniszczona. Najle-
piej było czekać cierpliwie, a potem szybciej
pędzić, aby dogonić czas stracony.

Trzy godziny trwał pochód bizonów
i jeszcze się nie kończył; wreszcie o dziewiątej
i pół wieczorem pociąg ruszył, przebiegając
terytorjum Utah, krainę Słonego jeziora i cie-
kawy kraj Mormonów.

ROZDZIAŁ XXVII.

Mowa misjonarza. Jedynym słuchaczem Passepartout.

Koło godziny dziewiątej rano Passepartout stanął w przejściu, aby zaczerpnąć powietrza.

Było zimno: niebo pokryło się szaremi obłokami, ale nic jeszcze nie padało. Ukazało się tarcza słoneczna, jak ogromna, okrągła kula i Passepartout zaraz zaczął obliczać, ile by to warte było, gdyby było ze złota.

Rozmyślania jego i obliczania przerwało wejście nowej osoby, dość dziwacznie wyglądającej.

Osobnik ten, który wsiadł na stacji Elko, był mężczyzną wysokiego wzrostu, bardzo ciemnej cery, z czarnymi wąsami, w czarnych pończochach, jedwabnym czarnym kapeluszu, w kamizelce koloru czarnego, spodniach tejże barwy, w krawacie białym i skórzanych rękawiczkach. Przechodził on wzdłuż wagonów i na firankach każdego wagonu zostawiał jakąś pieczętkę i notował coś długo i uważnie. Passepartout przeczytał jedną z notatek, która opiewała, że czcigodny Wilhelm Hitch, mormoński misjonarz, będzie miał o godzinie

11-ej w południe konferencję o mormonizmie, na temat „Święci ostatnich dni.“

— Naturalnie, że pójde, — pomyślał Pas-separtout, — ciekawym, co to za sekta.

Nowina szybko rozeszła się w pociągu, który wiozł setkę podróżnych.

Gdy więc wybiła jedenasta, dużo osób poszło na tę konferencję, Passepartout zaś zajął najpierwsze miejsce w rzędzie wiernych.

O oznaczonej godzinie misjonarz mormoński podniósł się z miejsca i głosem zirytowanym, jakby mu się ktoś sprzeciwiał, zawołał:

— Mówię wam, że Joe Szmidt był męczennikiem i że prześladowania proroków przysparza nam dużo podobnych męczenników!

Kto śmie temu zaprzeczyć?!...

Nikt nie odważył się sprzeciwiać misjonarzowi, którego egzaltowane uniesienie dziwnie kontrastowało z jego spokojnem usposobieniem.

Zapewne gniew jego pochodził stąd, że mormonizm przechodził ciężkie próby.

Rząd prześladował fanatyków i wkońcu uwięził głównego przywódcę sekty Junga. Mormoniści przez ten czas burzyli się przeciw rządowi i oczekiwali wyroku, jątrząc swemi konferencjami zwolenników tej sekty.

Jak widzimy, nawet w wagonie znalazł się taki Wilhelm Hitch misjonarz, który wybuchął gniewem na rząd i propagował zasady Mormona.

Po tym wstępie misjonarz zaczął spokojnie opowiadać historję mormonizmu, od czasów biblijnych, mówił on, jak to jeden z proroków z pokolenia Józefa, ogłosił zasady nowej religji i przekazał ukończenie ich synowi swemu Mormonowi.

Jak w wiele lat potem, przetłomaczono tę książkę, pisaną po egipsku. Tłomaczem jej był Józef Szmidt młodszy, który ogłosił się prorokiem mistycznym w 1825 roku; jak ukazał mu się anioł niebieski w lesie i dał mu przykazania boże.

Podczas gdy tak mówił, paru słuchaczy, których nie interesował ten temat wstało, żeby opuścić wagon. Misjonarz nie zwrócił na to uwagi i opowiadał dalej, jak to Szmidt stworzył religję „Świętych dni ostatnich,” religję, która uznana została za wielką, nie tylko w Ameryce, lecz i w Anglji, Skandynawji, Niemczech przez wszystkie stany społeczne.

Jak to zbudowano świątynię za dwieście tysięcy dolarów, jak Szmidt otrzymał w nadprzyrodzony sposób papirus z pismem Abrahama i innych świętych osób.

Opowiadanie przedłużało się okropnie, szeregi słuchaczy coraz to się zmniejszały, pozostało tylko ze dwadzieścia cierpliwych osób.

Ale misjonarz nie zniechęcał się tem bynajmniej i nawet, gdy mu pozostało już tylko dziesięciu słuchaczy, prawił dalej.

Miedzy tymi dziesięcioma był i Passepartout. Wyteżał on uszy, żeby słyszeć wszystko i dowiedział się na koniec, że Szmidt został uwięziony i zamordowany przez zamaskowanych ludzi.

— Czy będziesz, mój wierny słuchaczu, — rzekł misjonarz, obracając się ku chłopcu, — propagować ideę mormonizmu i zjednywać nam zwolenników?

— Nie — zawołał Passepartout, umykając z wagonu tak, jak inni.

Tymczasem podczas tej konferencji pociąg szybko dobiegał do źródła Słonego.

Tutaj można było obserwować morze Martwe i Jordan.

Źródło było wspaniałe, otoczone dzikimi skałami i bielilo się na brzegach czystymi kryształami soli.

W dwie godziny potem podróżni znaleźli się na stacji Ogden. Pociąg miał wyruszyć dopiero o szóstej, przeto niektórzy z po-

drożnych, a między nimi Filip Fogg z panią Andą i Passepartout, wyszli obejrzeć miasto.

Dwie godziny wystarczyły im na to. Miasto zbudowane było na sposób amerykański.

Nie było tutaj wcale kościołów, znajdował się zato dom proroka, a pozatem domki malowane na błękitno z werandami i ogródkami, w których rosły drzewa akacjowe i palmowe!

Miasto otaczał mur, a w głównej ulicy znajdowało się kilka hoteli z pawilonami.

Ulice były prawie puste, gdziekolwiek tylko widać było kobiety, ubrane w czarne jedwabne żakiety, albo też ustrojone po indyjsku.

Passepartout patrzył z pewną trwogą na Mormonów, na tych ludzi, wierzących w jakiegoś Szmidta i we wzrok jego malowała się widoczna pogarda dla nich, gdyż sekciarze rzucali wokoło wzrok niespokojny i usuwali się na bok. O godzinie niespełna czwartej pasażerowie usadowili się już w wagonach i pociąg zaczął powoli odjeżdżać.

Ale w chwili gdy koła lokomotywy poczęły biec szybciej, dał się słyszeć krzyk przeraźliwy: Zatrzymać! Zatrzymać! Ale nie zatrzymuje się pociągu, który jest w biegu.

Dzientelmen, wydający te krzyki, był na pewno opóźnionym Mormonom.

Biegł on bez tchu. Na szczęście dla niego pociąg nie miał drzwi ani krat.

Wbiegł więc na stopnie ostatniego wagonu, i padł zmęczony na pierwszą ze stojących ławek.

Passepartout, który śledził z niepokojem tę gonitwę Mormona, dowiedział się wkrótce ze współczuciem, że Mormon uciekał od żony z powodu sceny domowej.

Kiedy nowoprzybyły podróżny odpoczął nieco i nabrał tchu, Passepartout podszedł do niego i spytał grzecznie, ile ma żon?

Mormon z ciężkiem westchnieniem odpowiedział, że tylko jedną, ale i tej ma dosyć.

ROZDZIAŁ XXVIII.

Pan Fogg gra w wista w wagonie. Zamierzony pojedynek.

Pociąg kierował się od tej pory na północ. Passepartout niecierpliwił się i niepokoił coraz bardziej, czy zdążą na czas. Fix chciał podobnie być jaknajprędzej na posiadłościach angielskich, aby mógł aresztować ściganego przez siebie Foggą, jeden Fogg tylko siedział spokojnie i bynajmniej nie obawiał się opóźnienia.

O godzinie dziesiątej wieczorem pociąg stanął na stacji Fort Brigder i wszedł w dwa-

dzieścia minut potem na stację Wyoming, starożytną Dakotę.

Nazajutrz, 7 grudnia, zatrzymano się przez kwadrans na stacji Grin Riwer. Śnieg padał przez całą noc wraz z deszczem, nie przeszkodził więc szybkiemu biegowi pociągu.

Niepokoilo to jednak Passepartout, który szemał:

— Co za myśl przyszła mojemu panu podróżować w zimie! Mógł poczekać do wiosny...

Ale w chwili, gdy pocziwy chłopak obserwował pogodę, pani Anda niepokoiła się z innego powodu.

Kilku z podróżnych wyszło z wagonu, aby użyć przechadzki pomiędzy nimi pani Anda dostrzegła Proctora, owego Amerykanina, który miał się bić z panem Foggiem.

Pani Anda, nie chcąc być zauważona, rzuciła się w głąb wagonu.

Okoliczność ta zaniepokoiła młodą kobietę. Przywiązała się mocno do pana Fogga, który w sposób chłodny wprawdzie, ale wyraźny dawał jej dowody wielkiej życzliwości i pamięci.

Nie rozumiała zapewne jeszcze całej głębi swego uczucia dla pana Fogga, sądziła, że to przez wdzięczność za wyratowanie czuje dlań taką sympatję. Ale w rzeczywistości żywiła dla niego uczucie większe nad wdzięczność.

Serce ścisnęło się jej boleśnie, kiedy spostrzegła olbrzymią, ordynarną postać Amerykanina, z którym Fogg chciał prędzej, czy później pojedynkować się.

Naturalnie, że tylko zbieg okoliczności sprowadził tu olbrzymiego przeciwnika, ale w każdym razie był on tutaj i trzeba było za wszelką cenę uniemożliwić spotkanie z nim panu Fogg.

Pani Anda, korzystając z drzemki Fogg'a, podeszła do Passepartout i Fixa i zwierzyła się im ze swego niepokoju.

— Ten Amerykanin jest tutaj! — zawołał Fix, — niech pani będzie pewna, że przed panem Fogg, miałby do czynienia ze mną.

— Panie Fix, — odpowiedziała pani Anda, — pan Fogg nie pozwoli nikomu mścić się i stawać w jego obronie. Powiedział, że wróci do Ameryki, aby się z nim pojedynkować. Jeśli zobaczy tego olbrzyma, nie poradzimy nic na to, żeby się nie bił, a mogą z tego wyniknąć jak najgorsze następstwa.

Trzeba więc, żeby go nie widział!

— Ma pani rację, — spotkanie może nam wszystko zepsuć. Zwycięzca, czy zwyciężony pan Fogg może się spóźnić.

Rozmowa przerwała się. Pan Fogg zbudził się i przyglądał się wsi przez ośnieżoną szybę wagonu.

Ale po pewnym czasie, zdala od pana Fogga i pani Andy, Passepartout spytał się Fixa:

— Czy naprawdę bilby się pan za pana Fogga?

— Gotów jestem na wszystko, — odrzekł inspektor policji, — aby go dowieźć żywym do Europy...

Passepartout poczuł jakoby dreszcz na te zimno wymówione słowa.

Fixowi zdawało się, że wynalazł sposób na to, żeby uwagę pana Fogga odwrócić od Amerykanina.

Podszedł do niego i rzekł:

— Prawda, jakie długie i nudne godziny spędza się w wagonie, podczas podróży?

— Rzeczywiście, odpowiedział dżentelmen, — Ale wszak mijają one.

— Pamiętam, że jadąc parowcem, lubił pan grać w wista.

— Tak, — odpowiedział Fogg — ale tutaj nie mam ani kart ani partnerów.

— Ach! karty! znajdziemy je w wagonie amerykańskim, są tam do sprzedania. A co do partnerów, to zapewne pani...

— O, tak! — odpowiedziała żywo pani Anda, — umiem grać w wista...

— Ja także, — odpowiedział Fix, — jeżeli więc pan sobie życzy...

— Owszem, jeśli to panu dogadza, — odrzekł Fogg, zachwycony możliwością gry w ulubionego wista...

Passepartout pobiegł po karty i natychmiast przyniósł dwie talje.

Gra się rozpoczęła. Pani Anda знаła tę grę i zasłużyła nawet parę razy na pochwałę pana Fogg.

Co do Fixa, to był on świetnym partnerem i dorównywał w grze panu Fogg.

W południe podróżni znajdowali się w forcie Halleck. Jeszcze kilka godzin i przejadą niebezpieczne urwiska i góry. Śnieg ustał, zaczął natomiast się przymrozek. Duże ptaki uciekały, przerażone biegiem lokomotywy.

Była to pustynia w całym tego słowa znaczeniu.

Po śniadaniu pan Fogg i jego partnerzy rozpoczęli na nowo grę w wista, gdy naraz dały się słyszeć głośne sygnały i raptem pociąg stanął.

Passepartout wysunął głowę przez okno i wyjrzał, ale nie było widać żadnej stacji, ani też żadnej przeszkody do zatrzymania się pociągu.

Pani Anda i Fix bali się przez chwilę, czy pan Fogg nie zechce sam wyjść na drogę i zbadać powód zatrzymania pociągu, ale chłodny

jak zwykle dżentelmen ograniczył się tylko powiedzeniem do służącego.

— Zobacz, co się stało.

Passepartout wyszedł z wagonu. Ze czterdziestu podróżnych opuściło już swoje miejsca, a między nimi i Amerykanin.

Pociąg zatrzymał się przed czerwonym sygnałem, zwiastującym niebezpieczeństwo.

Maszynista i konduktor rozmawiali żywo z dróżnikiem, którego wysłał zawiadowca następnej stacji.

Passepartout, zbliżywszy się do zebranych, posłyszał słowa dróżnika.

— Nie! nie podobna przejechać! Most rozwalony i nie mógłby utrzymać pociągu.

Był to most zwodzony, bardzo zniszczony i rzeczywiście grożący katastrofą. Passepartout z zaciśniętymi zębami słuchał tej wiadomości.

— A więc tak! — zawołał Amerykanin, — mamy więc stać na śniegu!

— Panie, — odrzekł konduktor, — telegrafowano do stacji Omaha o ratunek, ale dopiero za sześć godzin możemy się spodziewać pomocy.

— Sześć godzin! — wykrzyknął Passepartout.

— Zapewne, — odpowiedział konduktor, — przez ten czas możemy pieszo dojść do stacji.

— Pieszo! — zawołali podróżni.

— A jak daleko od nas jest stacja? — spytał któryś z podróżnych.

— Odległa jest o dwanaście mil, — odpowiedział.

— Dwanaście mil po śniegu! — zawołał Amerykanin.

I zaklął głośno. Passepartout zaś gotów był bić się ze złości z przeciwnikiem pana Fogg. Passepartout pomimo woli zmuszony był uprzedzić swego pana o wypadku.

Z głową spuszczoną skierował się do wagonu, gdzie pan Fogg grał w karty, tymczasem zaś konduktor zwrócił się do pasażerów i rzekł.

— Panowie, zdaje mi się, że znalazłem sposób wybrnięcia z kłopotu. Przejdziemy przez most...

— Po moście? — spytał się jeden z podróżnych.

— Po moście.

— Z pociągiem? — zapytał Amerykanin.

— Z pociągiem.

Passepartout zatrzymał się i pochłaniał słowa konduktora.

— Ależ most grozi zawaleniem!—wołano.

— Nic nie szkodzi, wierzę, że gdy puści się pociąg z całą szybkością, to ominiemy niebezpieczeństwo.

Znaczna część podróżnych zgodziła się na ten projekt.

Wszak przez rzeki przejeżdżały nieraz pociągi bez mostów. Trzeba tylko puszczać z najwyższą szybkością lokomotywę.

Passepartout uważał jazdę tę za ryzykowną i opierał się temu.

— Co? boisz się pan? — zawołał Amerykanin.

— Ja? boję się? — wykrzyknął urażony temi słowami Passepartout — A więc dobrze! Pokażę wszystkim, że Francuz dorówna, a nawet przewyższa tych z Ameryki!

— Do pociągu! do pociągu! — wołał konduktor.

— Tak! do pociągu! — mówił Passepartout — A, mnie się zdaje, że lepiej, żebyśmy przeszli po moście, a dopiero później przewieźć pociąg.

Ale nikt nie słuchał rozsądnej rady Passepartout.

Podróżni zajęli swoje miejsca w wagonie. Passepartout usiadł na swoim, nie mówiąc o niczem swemu panu. Gracze byli do głębi pochłonięci wistem.

Lokomotywa puściła się całym rozmachem, przechylając się, jak skoczek w tańcu, poczem, po drugim dzwonku rozległ się głośny gwizd i całą siłą pary puszczono się na rzekę.

Zdawało się, że pociąg, pędząc po sto mil na godzinę, nie idzie, lecz płynie w powietrzu...

I rzeczywiście pociąg przeszedł most, ale zaledwie znalazł się na przeciwnej stronie most padł w nurty rzeki rozwalony.

Tegoż wieczora pociąg przebywał swą drogę bez żadnego wypadku.

Pan Fogg siedział i grał w wista. Szczęście mu dziś bardzo sprzyjało.

Wciąż wygrywał i wygrywał. W chwili gdy stawiał pika, jakiś głos gruby odezwał się poza plecami Fogga:

— A ja stawiam karo!

Grający odwrócili głowy i spostrzegli Amerykanina, który, spojrzawszy na pana Fogga, wykrzyknął:

— Ach to pan, panie Angliku! Pan chcesz stawiać pika!

— Kto chce, ten stawia! — spokojnie powiedział Fogg, kładąc pika.

— A ja chcę, żeby pan stawiał karo! — zawołał zirytowany Amerykanin.

I uczynił gest, jakby chciał złapać kartę. dodając:

— Pan nie ma pojęcia o grze!



— Może będę zręczniejszy w innej grze, — rzekł, wstając pan Fogg.

— Zależy tylko od pana zmierzyć się z synem Johna Bulla, — rzekł grubym głosem przeciwnik.

Pani Anda zbladła śmiertelnie. Krew spłynęła całkowicie z jej twarzy.

W pierwszym porywie rozpaczy pochwyciła pana Foggę za rękę, ale ten odsunął ją grzecznie.

Passepartout rzucił się ku Amerykaninowi, aby go wypchnąć z wagonu, ale pan Fogg powstrzymał go wzrokiem.

Natomiast Fix podniósł się z miejsca, podszedł do Amerykanina i rzekł:

— Zapomniał pan, że obrażonym byłem ja, nie tylko bowiem mnie pan znieważył, ale i pobił!

— Panie Fix, — odezwał się Filip Fogg spokojnie — przepraszam pana, ale sprawa ta do mnie należy.

Wtrącając się do mojej gry, pan Proctor ubliżył mnie i odpowie mi za to.

— Kiedy pan chce i gdzie pan chce, — odpowiedział Amerykanin — i bronią, jakiej pan sobie życzy!

Pani Anda napróżno starała się odwieść pana Foggę od strzelaniny, inspektor policji

również, Filip Fogg niezwłocznie opuścił wagon wraz z Amerykaninem.

— Panie, — odezwał się pan Fogg do swego przeciwnika, — muszę się bardzo śpieszyć, aby być na czas w Europie i opóźnienie może mi bardzo w mych interesach zaszkodzić.

— Ale cóż mnie to może obchodzić?

— Panie, — zaczął pan Fogg bardzo uprzejmie, — podczas naszego poznania się w San Francisco, proponowałem panu przyjazd mój specjalny do Ameryki na pojedynek, po załatwieniu mych interesów.

— Prawda!

— Czy pan godzi się na prolongatę sześciu miesięcy?

— Dlaczego nie sześciu lat?

— Powiedziałem: sześciu miesięcy, — powtórzył pan Fogg — i będę punktualny.

— W tej chwili, albo nigdy! — krzyknął olbrzymi człowiek.

— Niech będzie, — odpowiedział Fogg. — Czy pan jedzie do Nowego Jorku?

— Nie.

— Do Chicago?

— Nie.

— Do Omaha?

— Pana to nie dotyczy dokąd jadę! Czy pan zna Plum Creek?

— Nie, — odpowiedział pan Fogg.

— Jest to najbliższa stacja. Pociąg stanie tam za godzinę. Stać będzie dziesięć minut. W dziesięć minut można zamienić wystrzał.

— Niech i tak będzie, — odpowiedział Fogg, — zatrzymam się w Plum Creek.

— I sędzę, że tam pan na zawsze pozostanie, — dodał Amerykanin z zarozumiałością bez miary.

— Kto to wie? — odpowiedział Fogg, wchodząc do wagonu tak samo chłodny, jak i zazwyczaj.

Po tej rozmowie zaczął uspokajać panią Andę, tłumacząc jej, że pyszałkowie nigdy nie są tak bardzo odważni.

Potem poprosił Fixa, żeby mu służył za świadka, czego mu ten nie mógł odmówić, następnie zasiadł do wista, grając, jakby mu się nic a nic nie zdarzyło.

ROZDZIAŁ XXIX.

Pojedynek w wagonie nie dochodzi do skutku.

Napad na pociąg.

O godzinie jedenastej gwizd lokomotywy oznajmił zbliżanie się do stacji Plum Creek. Pan Fogg wstał i w towarzystwie Fixa i Passe-

partout, który niósł za nim parę rewolwerów, stanął w przejściu między wagonami.

Zaraz potem ukazał się Amerykanin w towarzystwie Jankesa.

W chwili jednak, gdy przeciwnicy zabierali się do wyjścia z wagonu, nadbiegł konduktor, wołając:

— Panowie! nie wysiada się tutaj!

— Dlaczego? — spytał Amerykanin.

— Opóźniliśmy się o dwadzieścia minut pociąg więc tu się nie zatrzyma.

— Ależ ja muszę się bić z tym panem!

— Żałuję mocno, — rzekł urzędnik, — ale odjeżdżamy natychmiast. Oto dzwonek!

Dzwonek zadzwonił i pociąg ruszył w drogę.

— Jestem mocno zmartwiony, panowie, — rzekł konduktor. — W każdym innym wypadku spełniłbym życzenie panów.

Ale zwracam uwagę, że możecie panowie bić się w drodze, w wagonie.

— Może to się panu nie spodoba? — odezwał się wzgardliwym tonem Amerykanin.

— Przeciwnie zgadzam się — rzekł Fogg.

— A no, jesteśmy w Ameryce! — pomyślał Passepartout, — a konduktor jest dżentelmenem...

Dwaj przeciwnicy wraz ze świadkami, poprzedzani przez konduktora, przeszli z jednego wagonu do drugiego.

Ostatni, wagon zajęty był tylko przez osób dwanaście.

Konduktor poprosił o wyjście na chwilę z wagonu, tłumacząc się tem, że dwaj dżentelmeni mają załatwić jakąś sprawę honorową.

Podróżni zgodzili się na to z największą chęcią i odeszli skwapliwie do drugiego wagonu.

Wagon, w którym mieli się pojedynkować, miał długości pięćdziesiąt stóp i był bardzo dogodny dla tego celu.

Pan Fogg i Amerykanin, obaj uzbrojeni w sześciostrzałowe rewolwery, weszli do wagonu.

Świadkowie ich zamknęli drzwi na zewnątrz.

Za pierwszym gwizdem lokomotywy miał się rozpocząć pojedynek.

Po upływie zaś dwóch minut miano wynieść z wagonu to, co pozostałoby z dwóch dżentelmenów.

Oczekiwano właśnie na gwizd lokomotywy, gdy naraz rozległy się dzikie wrzaski.

Nie pochodziły one jednak z wagonu, zajętego przez przeciwników.

Amerykanin i Fogg, z rewolwerami w ręku wyszli i stanęli przy drzwiczkach.

Zrozumieli odrazu, że pociąg, napadnięty został przez horde Indjan.

Zuchwali ci dzicy nieraz już zatrzymywali pociągi, grabiąc je i mordując opornych podróżnych.

Wdrapywali się oni na stopnie wagonów, wchodzili do wnętrza i teroryzowali pasażerów, odbierając im wszystko, co posiadali.

Uzbrojeni byli w strzelby, któremi walczyli z podróżnymi, posiadającymi częściowo rewolwery.

Najpierw jednak rzucili się do lokomotywy. Maszynista i palacz zostali obojętnie uderzeniami w głowę i nie mogli zareagować na napad.

Dowódca Indjan, nie umiejąc zatrzymać lokomotywy, otworzył regulator, zamiast go zamknąć i lokomotywa puściła się z szalonym pędem w dal.

Indianie rzucili się do przedziałów. Jak mały wdrapywali się do środka i walczyli z pasażerami.

Ci ostatni bili Indjan i stawiali opór napastnikom.

Niektóre wagony zabarykadowały się, nie wpuszczając wrogów do wnętrza.

Od początku ataku pani Anda broniła się mężnie.

Z rewolwerem w ręku odpierała napaści, strzelając do tych, którzy się do niej zbliżali. Ze dwudziestu Indjan leżało zabitych na drogach, a koła wagonów miażdżyły, jak robactwo tych, którzy czepiali się stopni. Kilku podróżnych, ugodzonych kulami albo siekierami, jęczało z bólu, leżąc na ławkach.

Trzeba było to jednak zakończyć.

Bójka trwała już dziesięć minut i skończyłaby się klęską podróżnych, jeśliby nie zdołano zatrzymać pociągu.

O dwie mile już tylko oddalona była stacja Kerney, gdzie można było być bezpiecznym, ale jeśliby nie zdołano wstrzymać pociągu, podróżni byliby zgubieni.

Konduktor stał obok pana Fogga, gdy znienacka powaliła go kula.

Padając, zawołał: — Zgubieni jesteśmy, jeśli nie zatrzymamy za pięć minut pociągu.

— Zatrzyma się! — powiedział Filip Fogg i skierował się ku wyjściu.

— Proszę pozostać! — krzyknął Passepartout — ja to zrobię!

Pan Fogg nie miał czasu zatrzymać chłopca, który niespostrzeżenie otworzył drzwi wagonu i wślizgnął się po stopniach do lokomotywy. Nie zważał on na niebezpieczeństwo, na latające nad głową kule i wskoczył na lokomotywę niezauważony przez nikogo z Indian.

Tutaj, zawieszony jedną ręką przy towarowym wagonie, urwał łańcuch bezpieczeństwa, a nie mogąc dosięgnąć klapy zamykającej zwykle parnik, dokonał tego, że lokomotywa urwała się od pociągu i popędziła całą siłą pary na stację.

Pociąg urwany począł pozostawać w tyle, szedł jeszcze parę minut powoli, poczem o sto kroków od stacji Kerney przystanął.

Tutaj, żołnierze forteczni, przybyli na odgłos strzałów, pośpieszyli na pomoc.

Indianie nie dostrzegli ich i cała banda napastników została schwytana.

Ale kiedy podróżni rozejrzeli się po swych współtowarzyszach podróży, przekonali się, że brakowało kilku, a między innymi zniknął i odważny Francuz, którego poświęcenie uratowało wszystkich.

ROZDZIAŁ XXX.

**Passepartout ginie wraz z trzema podróżnymi.
Ocala go pan Fogg.**

Trzech podróżnych i Passepartout zginęli. Czy zostali zabici w walce? A może wzięto ich do niewoli?

Rannych było bardzo wielu, ale na szczęście ani jeden nie był ranny beznadziejnie.

Najciężej ranionym był Amerykanin, który walczył mężnie, ale kula powaliła go na ziemię.

Został przeniesiony na stację, gdzie troskliwie zajęto się wszystkimi chorymi.

Pani Anda wyszła cało z tej awantury. Filip Fogg również. Fix raniony był w ramię... Ale brakowało dobrego Passepartout.

Na wspomnienie odważnego, i szlachetnego swego obrońcy, pani Anda zalewała się łzami.

Wszyscy podróżni wyszli z wagonów. Koła wagonów były oblane krwią. Strzępy ciał wisiały uciepione do pociągu.

Pan Fogg stał z rękami skrzyżowanymi na piersiach, dumając nad czemś. Pani Anda stała przy nim w milczeniu.

Patrzała na Fogga i myśli jego odgadła.

— Muszę go znaleźć żywym, czy martwym — rzekł spokojnie do pani Andy.

— Ach panie... panie Fogg! — wykrzyknęła młoda kobieta, ściskając rękę swego towarzysza i zalewając się łzami.

— Możemy go znaleźć żywym, jeśli zaraz, w tej chwili udamy się na jego ratunek!

Postanawiając to, Fogg poświęcał się całkowicie.

Jeden dzień opóźnienia a przegra zakład. Ale ponad wszystko cenił on swój obowiązek: — To mój obowiązek! — mówił sobie w myśli i nie zawahał się przed ratowaniem wiernego sługi.

— Panie, — rzekł Fogg, podchodząc do kapitana fortu Kerney, — brak nam trzech podróżnych.

— Czy zabici? — zapytał kapitan.

— Zabici, lub więci do niewoli. Wskutek tej niepewności musimy ścigać Indian.

— Tak, to prawda, — rzekł kapitan. — Indianie mogą uciec aż do Arkanzas. Ale ja nie mogę opuszczać fortu.

— Panie, — odpowiedział Fogg, — idzie tu o życie trzech ludzi.

— Bezwątpienia... ale czyż mogę narażać życie pięćdziesięciu, aby wyratować trzech ludzi?

— Nie wiem, czy pan może, ale wiem, że jest to pana obowiązek.

— Panie, — odrzekł kapitan, — nikt tu nie ma prawa pouczać mnie o mych obowiązkach.

— Niech i tak będzie, — odpowiedział chłodno Fogg. — Idę sam!

— Pan! — zawołał Fix z przerażeniem, wzruszony pomimo woli — sam przeciwko Indianom?

— Czy chciałbyś pan, żebym opuścił tego nieszczęśliwego, któremu wszyscy, jak tu jesteśmy, zawdzięczamy życie.

— A więc nie! — zawołał kapitan — Nie! Masz pan szlachetne serce!.. Trzydziestu ludzi pójdzie z panem! Kto na ochotnika? — dodał, zwracając się do żołnierzy.

Setka chyba conajmniej podeszła do kapitana. Ten wyłączył trzydziestu z sierżantem na czele.

— Dziękuję ci, kapitanie, — rzekł Fogg spokojnie.

— Czy pozwoli mi pan towarzyszyć sobie? — spytał Fix.

— Zrobi pan jak zechce, — odpowiedział. — Ale jeśli mi pan chce wyrzucić przysługę, to zostań pan z panią Andą. W razie gdyby mnie spotkało nieszczęście...

Bladość okryła oblicze inspektora policji. Oddalić się od człowieka, za którym dotąd krok w krok postępował! Pozwolić mu narażać się w tej pustyni.

Fix spojrzał bystro na dżentelmena i mimo uprzedzenia do niego, spuścił wzrok przed jego spokojnem i szczerem wejrzeniem.

— Zostanę, — odpowiedział.

W kilka minut potem pan Fogg uściśnął na pożegnanie rękę młodej kobiety, oddał jej swą kosztowną walizkę, poczem odszedł z gromadką żołnierzy i sierżantem.

Ale przed wyruszeniem na wyprawę, rzekł do żołnierzy.

— Moi przyjaciele, tysiąc funtów dla was, jeśli wyswobodzimy więźniów!

Była to godzina dwunasta w południe. Pani Anda weszła do pokoiku na stacji i tam rozmyślała nad tem, jak szlachetnym był pan Fogg, jak nie zawahał się poświęcić całej swej fortuny, aby uratować Passepartout. W oczach jej urastał on na bohatera.

Inspektor Fix nie myślał tak dobrze o ściągany przez siebie dżentelmenie. Przechadzał

się nerwowo koło stacji i myślał z niepokojem, że wypuścił ze swych rąk ofiarę.

— Byłem głupcem! — mówił do siebie, — inny na mojem miejscu powiedziałby mu, kim jestem. Poszedł i nie powróci! Może pójść za nim i przytrzymać? Nie! jestem głupi, jak bydlę!

Tak mówił do siebie inspektor policji, a tymczasem godzina za godziną mijała i nie widać było nikogo... Nie wiedział już, co począć. Chwilami miał chęć wyznać wszystko pani Andzie. Ale przewidując, jak zostanie przyjęte jego opowiadanie, rozmyślił się. Zniechęcenie opanowało Fixa.

Tymczasem o godzinie drugiej po południu rozległo się gwizdanie i ukazał się cień jakiś z blaskiem w środku.

Ujrzeni wszyscy lokomotywę, tę samą, którą Passepartout odczepił od wagonów. Pędziła ona całą siłą pary, unosząc na sobie zemdłych: palacza i maszynistę.

Przebiegłszy dwadzieścia mil poza stację zatrzymała się nagle.

Znajdujący się na lokomotywie wrócili do przytomności i zapomocą drzewa i gałęzi zebranych na drodze, rozpalili ogień pod kotłem i puścili się ku stacji Kerney. Gdy loko-

motywa z pośpiechem zajęchała przed stacją, ucieszono się bardzo, że pociąg będzie mógł wyruszyć.

Pani Anda podeszła do konduktora.

— Czy pan zamierza jechać?

— Za minutę!

— A ci więźniowie... nasi współtowarzysze?

— Nie mogę czekać na nich, — odpowiedział konduktor, — i tak opóźniliśmy się o trzy godziny.

— Kiedy odejdzie drugi pociąg?

— Jutro wieczorem, proszę pani.

— Jutro wieczorem? To niemożliwe! Niech pan zaczeka...

— To niepodobna — odpowiedział konduktor, — jeżeli pani chce jechać, proszę już wsiadać.

— Nie pojadę, — odrzekła młoda kobieta.

Fix słyszał tę rozmowę i postanowił też czekać!

Tymczasem pasażerowie i kilku rannych, między nimi Amerykanin, którego stan był ciężki, zostali poumieszczani w wagonach.

Maszynista gwizdnął, buchnęła para z lokomotywy i odjechało, pozostawiając po za sobą kłęby dymu i pary.

Uplłynęło kilka godzin. Pogoda była straszliwa, zimno przenikało do głębi.

Fix siedział nieruchomy na ławce. Można było myśleć, że śpi.

Pani Anda niespokojna o nieobecnych, a w szczególności o Fogga i Passepartout, wychodziła co chwila i patrzyła w dal. Po paru minutach wracała i znów szła obserwować.

Wieczór nadszedł, oddziałku wciąż nie było widać. Kapitan fortu bardzo był niespokojny, pomimo, że pragnął to ukryć.

Zapadła noc. Śnieg sypał, mróz wzrastał. Najbystrzejsze oko niezdolne było dostrzec niczego w nieprzejrzaney ciemności.

Absolutna cisza panowała wokoło.

Pani Anda tej nocy nie zmrużyła oka ani na chwilę.

Siedziała z sercem ściśniętem, lub też błędziła nad brzegiem łąki.

Wyobraźnia unosiła ją daleko i przedstawiała jej tysiące niebezpieczeństw.

Trudno byłoby opowiedzieć lub opisać cierpienia tej nocy. Kapitan, pelen niepokoju, namyślał się, czyby nie wysłać nowej partji ludzi na pomoc.

Wreszcie skinął ręką na jednego ze swych poruczników.

Zaledwie przemówił do niego, dały się słyszeć wystrzały.

Czyżby to był sygnał? Żołnierze wybiegli z fortecy i o pół mili od stacji spostrzegli mały oddziałek, kroczący w doskonałym porządku.

Na czele szedł pan Fogg, obok niego Passepartout i dwóch podróżnych, wydartych z rąk Indian.

O dziesięć mil od stacji odbyła się walka. Przed przybyciem pomocy, Passepartout i dwaj pasażerowie bili się z pilnującymi ich Indianami i powalili ich siłą pięści na ziemię.

Właśnie w tej chwili nadszedł oddział na ratunek.

Rozległ się okrzyk radości ze stron obu. Pan Fogg rozdzielił obiecane tysiąc funtów między żołnierzy, a Passepartout powtarzał wciąż bez przerwy.

— Stanowczo, za dużo kosztuję swego pana.

Fix, bez słowa patrzył na pana Foggę, pani Anda zaś ujęła rękę dżentelmena i ścisnęła ją serdecznie w swych dłoniach, nie mówiąc ani słowa. Passepartout szukał pociągu, wołając:

— Pociąg! Gdzie pociąg?

— Odszedł, — odpowiedział Fix.

— A kiedy nadejdzie drugi? — spytał Fogg.

— Wieczorem.

— Ach! — odpowiedział spokojnie niewzruszony dżentelmen.

ROZDZIAŁ XXXI.

Opóźnienie pana Fogg. Jazda na łodzi łyżwowej.

Pan Fogg opóźnił się o dwadzieścia godzin.

Passepartout, który był przyczyną tego, rozpaczał. Zrzućnował on swego pana!

W tej chwili podszedł Fix do pana Fogg'a i patrząc mu wprost w oczy, rzekł:

— Czy rzeczywiście opóźnienie jest duże?

— Dwadzieścia godzin.

— A jeśliby nie zaszła ta awantura z Indjanami?

— Miałbym dwanaście godzin do rozporządzenia.

— A więc opóźnienie równa się tylko ośmiu godzinom?

— Tak jest.

— Wiem, że panu idzie o to, żeby być na czas, otóż możnaby zaraz pojechać saniami.

— W jaki sposób?

— Jeden człowiek proponował mi to już w nocy.

Pan Fogg zastanowił się nad tą propozycją, poczem poszedł sam do owego człowieka. Pokazano mu wspaniałe sanie łyżwowe, które pędzą po lodzie z niezwykłą szybkością.

W kilka minut umowa była zawarta. Wiał silny wiatr, lód był twardy, wszystko sprzyjało jeździe z żaglem po lodzie.

Pan Fogg, nie chcąc narażać panią Andę na jazdę po lodzie i to w szalonym pędzie, proponował, żeby została pod opieką Passepartout na stacji i przyjechała pociągiem aż do Europy drogą krótszą i wygodniejszą.

Ale pani Anda nie chciała rozłączać się z Foggiem i Passepartout był bardzo z tego postanowienia zadowolony.

Za nic w świecie nie chciał rozłączać się ze swym panem, którego szpiegował znienawidzony przezeń inspektor policji.

O godzinie ósmej sanie były gotowe do drogi. Podróżni usadowili się w nich otuleni w ciepłe derki.

Rozpięto żagle i łódź łyżwowa puściła się po lodzie, przesuwając się po czter-

dzieści mil na godzinę. W pięć godzin o ileby wiatr sprzyjał, podróżni byliby u celu.

W kilka godzin po wyjeździe ze stacji Kerney byli oni już na stacji Omaha, do której dążyli, aby przesiąść do wagonu.

Passepartout wyskoczył pierwszy, strząsnął się z zimna i pomógł wysiąść pani Andzie i swemu panu.

Trafili właśnie na potrzebny pociąg. Wsiedli tam natychmiast i jechali bardzo szybko, na drugi dzień przybyli do Chicago, poczem wyruszyli do Nowego Jorku, oddalonego o dziewięćset mil od tego miasta. Przebyto Indianę, Ohio, Pensylwanję, Nowy Jersey, potem ukazał się Hudson a jedenastego grudnia o jedenastej godzinie pociąg zatrzymał się na stacji.

Stąd mieli przesiąść się na parowiec „China“, ale ten odszedł niedawno i dopiero naza jutrz można było odpłynąć.

Passepartout łamał ręce z rozpaczy, czując się odpowiedzialnym za te ciągle opóźnienia i zawody! Ale pan Fogg nie przejmował się niczem, powiedział tylko:

— Popłyniemy jutro. Chodźmy.

Pan Fogg, pani Anda, Fix i Passepartout pojechali powozem do hotelu Świętego Mikołaja w Broadway.

Dano im pokoje i noc minęła szybko, zwłaszcza dla Fogga, który miał sen doskonały, natomiast dla pani Andy i Passepartout wlokła się bardzo z powodu myśli o przegranej Fogga.

Rankiem pan Fogg wyszedł z hotelu, poleciwszy Passepartout opiekę nad panią Andą.

Zamówił też wkrótce odpowiedni parowiec, który miał za chwilę odjechać.

Wziąwszy łódź, podpłynął do „Henryki“ tak zwał się ów statek i spytał:

— Czy pan jest kapitanem?

— Tak.

— Jestem Filip Fogg z Londynu.

— A ja Andrzej Spidy z Kardifu.

— Czy pan wyjeżdża?

— Za godzinę.

— Czy ma pan towary?

— Tak.

— A pasażerowie czy są także?

— Żadnych pasażerów nie mam. Nigdy nie wożę. Same towary.

— Czy statek pana idzie szybko?

— Doskonale.

— Czy nie zechce pan przewieźć na swym statku mnie i trzech jeszcze podróżnych do Liverpoolu?

— Do Liverpoolu? Dlaczego nie do Chin?

— Powiedziałem do Liverpoolu.

— Nie!

— Nie?

— Nie. Jadę do Bordeaux.

— Bez względu na zapłatę?

— Tak.

Kapitan powiedział to stanowczym tonem.

— A więc zawieź nas pan do Bordeaux.

— Nie, nawet gdyby mi pan zapłacił po dwieście dolarów od osoby!

— Ofiaruję panu dwa tysiące!

— Za osobę?

— Tak.

— A ile jest osób?

— Cztery.

Kapitan zaczął się zastanawiać. Pasażer za dwa tysiące dolarów, toć to już nie pasażer, ale kosztowny towar.

— Wyjeżdżam o godzinie dziewiątej, — odpowiedział po namyśle kapitan, — czy osoby te są już tutaj?

— O godzinie dziewiątej będziemy na brzegu, — odpowiedział spokojnie Fogg.

Było wtedy pół do dziewiątej. Niezwłocznie wsiadł do powozu, pojechał do hotelu, zabrał wszystkich i przywiózł do portu.

Jak tylko przyплыnęła „Henryka”, wszyscy byli już na brzegu.

Kiedy Passepartout dowiedział się, ile będzie kosztowała ta podróż, wydał okrzyk: Ach! w gamach przeróżnego tonu.

Co zaś do Fixa, to pomyślał on, że bank Angielski niewiele otrzyma ze skradzionej sumy.

ROZDZIAŁ XXXII.

Kupno okrętu przez Foggą. Brak węgla.

Aresztowanie Foggą.

W godzinę potem „Henryka” pędziła co sił po morzu, unosząc z sobą naszych podróżnych.

Na drugi dzień rano, przy sterze stanął człowiek dobrze nam znany.

Nie był to kapitan, lecz Filip Fogg!

Co zaś do kapitana, to ten zamknięty na klucz w swej kajucie, wydawał wściekle okrzyki złości.

To co się stało, było bardzo proste. Filip Fogg chciał jechać do Liverpoolu, kapitan zaś nie chciał się na to zgodzić.

Fogg więc pozornie przychylił się do woli kapitana i przez trzydzieści godzin tak zręcznie manewrował banknotami, że wkrótce majtkowie i palacze, którzy byli w bardzo złych stosunkach z kapitanem statku, zostali przez niego zaagitowani.

I oto Filip Fogg dowodził statkiem.

Skutki tego zobaczymy później. Na nowym stanowisku pan Fogg był, jak zwykle spokojny, pani Anda w obawie, a Passepartout zachwycony.

W pierwszych dniach żegluga była bardzo pomyślna.

Morze było spokojne, wiatr łagodny, statek szybko posuwał się po falach.

Passepartout był w swoim żywiole. Zachwycał się swym panem i ożywiał wesołością całą załogę.

Zapomniał on o wszystkim, o swych smutnych przygodach, o niebezpieczeństwach. Chwilami jednym okiem zerkał na Fixa, ale nie mówił do niego ani słówka.

Zagasła w nim całkowicie przyjaźń dla inspektora policji.

A Fix? Ten był zdumiony i nie wiedział, co o tem wszystkiem myśleć.

W końcu doszedł do przekonania że Fogg zawładnął statkiem, aby popłynąć do jakiegoś swobodnego zakątka i zostać piratem.

Co zaś do kapitana, to ten był prawie ze złości w zamkniętej kajucie i Passepartout musiał przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, aby ten nie wymknął mu się z kajuty w porze posiłku.

Tymczasem niepokój zapanował na statku. Zabrakło węgla.

Ta ilość, która starczyłaby, aby zawieźć do Bordeaux, do Liverpoolu była za mała. Pewnego dnia Fogg polecił swemu służącemu, aby wypuścił kapitana.

Passepartout poszedł spełnić rozkaz ze strachem, wiedząc jak wściekłym był kapitan za to więzienie.

W rzeczywistości, po paru minutach uwolniony kapitan wpadł, jak bomba na pokład.

— Gdzie jesteśmy? — zakrzyknął, przepłatając mowę przekleństwami.

— O siedemset siedemdziesiąt mil od Liverpoolu, — odrzekł spokojnie dżentelmen.

— Piracie! — krzyknął kapitan.

— Kazałem pana uwolnić, — rzekł Fogg i sprowadzić do mnie, gdyż chcę się spytać, czy sprzeda mi pan swój statek?

— Nie! do diabła, nie!

— A więc zmuszony będę go spalić.

— Co? spalić mój statek?

— Tak, gdyż brak nam drzewa.

— Spalić mój statek! — krzyczał Spidy, — statek, który wart jest pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

— Oto sześćdziesiąt tysięcy dolarów, — odpowiedział Fogg, podając kapitanowi pieniądze.

Wywarło to efekt zadziwiający. Kapitan odrazu zapomniał o swym gniewie i uwięzieniu.

Statek jego miał już dwadzieścia lat. Ależ to złoty interes!

Z radością schował do kieszeni pieniądze, a wtedy rozpoczęło się rąbanie wszystkiego, co było na statku z drzewa, aby napalić pod kotłem.

Wkrótce wszystko, co było drewnianego na „Henryce“ spalono i statek jechał, z szaloną szybkością.

Jeszcze daleko było do brzegów, gdy naraż kapitan, który zapomniał już o swej złości i zainteresował się podróżą pana Fogg, rzekł:

— Panie, wszystko sprzysięgło się przeciwko panu. Jesteśmy dopiero koło Kinstonn.

— Ach! — odpowiedział dżentelmen, — a więc to miasto jest to Kinstonn?

— Tak, panie...

— Czy możemy dotrzeć do portu?

— Za trzy godziny.

— Zaczekamy więc, — odparł Fogg, nie pokazując po sobie, że ma znowu pomysł, który przyspieszy przyjazd do celu.

Wkrótce statek stanął przy porcie i Filip Fogg, uściskawszy na pożegnanie rękę kapitana, opuścił go wraz z współtowarzyszami podróży.

Fix miał wielką ochotę zaaresztować teraz pana Foggę, ale się jeszcze powstrzymał.

Przybywszy do Dublinu, jeszcze się wzdragał.

Dwudziestego pierwszego grudnia Filip Fogg wylądował w Liwerpoolu. Miał szansę wygrania zakładu. Tymczasem podszedł do niego Fix, położył mu rękę na ramieniu i pokazując mu rozkaz urzędowy, rzekł:

— Czy pan jest Filipem Fogg?

— Tak, panie.

— W imieniu królowej, aresztuję pana!

ROZDZIAŁ XXXIII.

Filip Fogg w więzieniu. Uwolnienie.

A więc Filip Fogg znalazł się w więzieniu. Zamknięto go w celi więziennej w Liwerpoolu, aby nazajutrz rano przewieźć do Londynu.

W chwili aresztowania Passepartout chciał rzucić się na agenta, ale policjanci go powstrzymali.

Pani Anda, przerażona brutalnością tego faktu, nie mogła pojąć, co się stało.

Passepartout wytłumaczył jej wszystko.

Jakto? pan Fogg, ten szlachetny człowiek, który uratował jej życie, byłby złodziejem? Młoda kobieta całą duszą buntowała się przeciwko temu, serce jej omal nie pękło z żalu, a łzy rześiste padały z jej pięknych oczu, kiedy zobaczyła, że nic na to nieszczęście poradzić nie zdoła.

Passepartout zaś rozpaczał, że ukrył przed panem Fogg to, co wiedział od inspektora policji. Sprawa wzięłaby pewnie inny obrót, a teraz, co będzie?

Biedny chłopiec na myśl, że wszystkiemu zawinił, płakał i rozpaczał tak bardzo, że o mało głowy sobie o ścianę nie rozbił.

Pani Anda wraz z Passepartout, pomimo chłodu stała na wietrze i chłodzie przed wzięciem i odejść stamtąd nie chciała.

Raz jeszcze chcieli zobaczyć oboje pana Fogga.

Co do Fogga, to był on kompletnie zrujnowany i to w chwili, gdy dobiegał do celu.

Aresztowanie gubiło go bezpowrotnie.

Powinien był być za sześć godzin w Londynie, iść do Klubu „Reform“ i ukazać się kolegom.

Ktoby w tej chwili wszedł do celi, zastałby pana Fogga, siedzącego nieruchomo na ławce, z twarzą zupełnie spokojną.

Niewiadomo, czy był tak zobojętniały, czy zrozpaczony.

Może w duszy jego wrzał gniew, może powstrzymywał się tylko, aby w końcu, gdy przyjdzie pora, wybuchnąć?

Niewiadomo. Wiemy tylko, że siedział spokojny, oczekujący... Na co? Niewiadomo.

Wszedłszy do celi, Fogg położył na stole zegarek i przyglądał się posuwającym się wskazówkom. Ani jeden wyraz nie wybiegł z jego ust, wzrok tylko skierowany był z uwagą na godzinę.

W każdym razie sytuacja przedstawiała się okropnie. Filip Fogg znany ze swej uczciwości, był zrujnowany. Czy myślał oskarżony o obronie? Czy było jakie wyjście z tej sytuacji? Czy myślał uciec? Możliwe było tak sądzić, bo w pewnej chwili Fogg zaczął biegać po pokoju. Ale drzwi były mocno zaryglowane, okno obwiedzione kratami żelaznymi. Usiadł z powrotem, wyciągnął notes z kieszeni i przyglądał się różnym notatkom z podróży.

Na ratuszu wybiła godzina pierwsza... Za dwie godziny mógłby jeszcze wyjechać expresem...

Na tę myśl zmarszczyło się czoło więźnia.

O godzinie drugiej, trzydzieści trzy minuty dał się słyszeć szmer jakiś, potem gwałtowne otwieranie drzwi.

Słysząc głos Fixa i Passepartout.

Wzrok Fogg'a zabłysnął na chwilę!

Otworzyły się drzwi, wpadli: Fix, Passepartout i pani Anda.

Fix nie mógł z pośpiechu oddychać. Włosy miał zwichrzone, nie mógł przemówić.

— Panie, — bełkotał, — panie, przebacz... podobieństwo nadzwyczajne... Złodziej schwytany przed trzema dniami... pan jest wolny!

Filip Fogg wolny!.. Podeszedł do detektywa, patrząc mu prosto w oczy, wreszcie zrobił

ruch jeden, jedyny, gwałtowny, którego zapewne nie spodziewał się wykonać nigdy w życiu i uderzył Fixa dwiema wyciągniętymi pięściami.

— Doskonale uderzone! — zawołał Passepartout, nie posiadając się z radości.

Fix powalony pięścią Anglika nie wymówił ani jednego słowa. Otrzymał to, na co zasłużył. Passepartout zaś, Fogg i pani Anda, czempredzej wybiegli z więzienia, wpadli do powozu i kazali się wieźć na stację.

Tutaj dowiedzieli się, że dopiero za trzy godziny mogą jechać do Londynu.

Wkrótce potem Fogg, szepnąwszy coś uprzednio maszyniście, jechał do Londynu w towarzystwie pani Andy i swego wiernego sługi.

Trzeba było, chcąc przybyć w porę przejechać w ciągu pięciu i pół godzin przestrzeń do Londynu, rzecz bardzo możliwa, o ile droga jest wolna od przeszkód.

Ale nadarzyły się różne trudności i opóźnienia innych pociągów i dlatego, gdy Fogg zajechał na stację w Londynie, była już ósma pięćdziesiąt na wszystkich zegarach.

A więc Filip Fogg po odbyciu podróży naokoło świata przybył z pięciominutowem opóźnieniem.

ROZDZIAŁ XXXIV.

Rozpacz Passepartout, że z jego powodu Fogg przegrał zakład. Obawa o życie pana Fogg.

Nazajutrz mieszkańcy byliby bardzo zdziwieni, gdyby im powiedziano, że Filip Fogg powrócił. Drzwi bowiem, okna, okiennice domu jego były tak szczelnie pozamykane, jak i przedtem i cisza panowała zupełna.

W rzeczywistości Fogg dał Passepartout polecenie zakupu żywności i sam wszedł do swego domu.

Dżentelmen dostał jakby uderzenie w głowę. Był zrujnowany! I to przez tego wstrętnego policjanta!

Tyle pokonał trudności, tyle niebezpieczeństw i wszystko to na nic!

Z całej sumy, jaką zabrał na drogę, pozostało mu bardzo mało, a to, co miał w banku, przegrał.

Dwadzieścia tysięcy funtów, umieszczone w banku braci Baring, stanowiło wszak jego

cały majątek! I musiał to oddać kolegom w Klubie.

Wiedział teraz, co mu pozostawało do uczynienia.

Jeden pokój w willi Fogga przeznaczony był dla pani Andy.

Młoda kobieta była w rozpacz. Z kilku słów wypowiedzianych przez pana Fogga, zrozumiała, że dżentelmen nosi się z złowrogim zamiarem.

Wiadomo do jakich oplakanych ostateczności dochodzą nieraz manjacy angielscy pod wpływem jakiejś idei prześladowczej.

A Passepartout, czyż dopilnuje swego pana, czy powstrzyma go od rozpaczliwego kroku?

Passepartout czymprędzej wpadł do swego pokoju i zamknął gaz, który palił się od ośmdziesięciu dni.

W skrzynce od listów znalazł rachunek z gazowni i zrozumiał, że czas już najwyższy po temu, aby zatrzymać fale gazu, za które miał sam płacić.

Noc przeszła, pan Fogg położył się do łóżka, ale czy usnął?

Co do pani Andy, to nie zdrzemnęła się ani na chwilę.

Passepartout czuwał, jak pies pod drzwiami swego pana.

Nazajutrz pan Fogg zawołał go do siebie i w słowach zwięzłych kazał mu przygotować śniadanie dla pani Andy.

Co do niego, to nie zażądał nic ponad filiżankę herbaty i grzanek.

Napróżno pani Anda chciała go skłonić do przyjścia na śniadanie i na obiad. Zajęty był tak porządkowaniem swych interesów, że nie chciał przyjść ani na chwilę.

Wieczorem dopiero poprosił panią Andę o chwilę rozmowy.

Passepartout nie opuszczał pokoju swego pana, czuwał nad nim, wpatrując się w spokojny wyraz jego twarzy, nie zdradzający niczem burzy w głębi serca szlachetnego człowieka.

Serce Passepartout wezbrane było żalem, sumienie miał niespokojne i pełne wyrzutów.

Oskarżał wciąż siebie, że stał się powodem całego nieszczęścia swego pana.

Tak! gdyby uprzedził go o Fixie, wszystko wzięłoby inny obrót!

Fogg nie pozwoliłby jechać detektywowi razem aż do Liwerpoolu, a wtedy...

Passepartout nie mógł się już powstrzymać.

— Mój panie! panie Fogg! — zakrzyknął z całej mocy — przeklnij mnie, jam winien wszystkiemu! To z mojego powodu...

— Nie oskarżam nikogo, — rzekł spokojnym głosem Fogg — odejdz, mój drogi...

Passepartout opuścił pokój swego pana i skierował się wprost do pani Andy, przedstawiając jej prośbę swego pana, że chce się z nią zobaczyć wieczorem.

— Pani, — odezwał się do niej, — ja już nie mogę wpłynąć na swego pana, może pani spróbuje odwieść go od zamiaru odebrania sobie życia, bo o tem napewno myśli.

— Jakiż ja mogę mieć wpływ na pana Fogg? — odpowiedziała młoda kobieta. — Czyż pan Fogg mnie posłucha? Czy rozumiał kiedy, jak wdzięczną mu jestem za wszystko! Czy czyta kiedy w mem sercu? Mój przyjacielu, nie trzeba go ani na chwilę opuszczać, ani na jedną chwilkę...

Mówisz, że pan Fogg chciałby ze mną pomówić wieczorem?

— Tak, proszę pani. Idzie mu zapewne o zabezpieczenie utrzymania pani w Anglii.

— Dobrze, zaczekajmy do wieczora, zobaczymy. — rzekła zadumana pani Anda.

Tak więc, poraz pierwszy, odkąd Fogg zamieszkiwał willę, nie było znać w niej żadnego ruchu i gdy wybiła godzina wpół do dwunastej, nie pokazał się on w Klubie „Reform“.

Bo i pocóżby Filip Fogg zjawić się miał w Klubie. Koledzy nie oczekiwali go wcale.

W wilję tego dnia w sobotę dwudziestego pierwszego grudnia Fogg przegrał zakład.

Koledzy mieli w ręku czek gotowy na dwadzieścia tysięcy funtów, odebrali go sami, nie potrzebując w tem jego wyręczenia.

Nie miał już poco iść do Klubu i nie poszedł.

Siedział w swym gabinecie i porządkował papiery.

Passepartout wciąż czuwał na schodach i pod drzwiami. Dłużyły się biednemu chłopcu godziny.

Stał pod drzwiami pokoju swego pana i zaglądał przez dziurkę od klucza. Czuł, że mu to było wolno.

Bał się wciąż jakiejś katastrofy i drżąc, nasłuchiwał.

Chwilami myślał, czy nie wezwać Fixa, ale odpychało go coś od tego człowieka, któ-

ry przez omyłkę wprowadzie, ale przyczynił się do całego nieszczęścia.

W każdym razie Passepartout uważał siebie za winowajcę. Gdyby był odkrył to, co mu mówił Fix, nie doszłoby do tego.

Kiedy już czuł się tak nieszczęśliwym, że wprost nie był w stanie przenieść wyrzutów sumienia, zapukał do pani Andy. Gdy go wpuszcila, usiadł w kącie, nie mówiąc nic, i patrzył na zamyśloną młodą kobietę.

O wpół do ósmej wieczorem pan Fogg spytał, czy pani Anda zechce go przyjąć?

Twarz jego nie wyrażała wzruszenia.

Fogg wyjeżdżający był tym samym Foggiem, gdy powrócił.

Anglik wziął krzesło i usiadł naprzeciwko pani Andy, koło kominka.

Przez pięć minut milczał, jakby się namyślając. Potem podniósł oczy na nią i rzekł:

— Pani, czy przebaczysz mi, żem cię przywłóził do Anglii?

— Ja? panie Fogg... — odpowiedziała żywo Anda, słysząc głośnie kołatanie swego serca!

— Pozwól mi pani dokończyć, — odparł Fogg. — Kiedy powziąłem myśl przywiezienia pani do Anglii, aby oddalić ją od pełnego niebezpieczeństw kraju, byłem bogaty i liczyłem

na to, że będę mógł podzielić się z panią swoim bogactwem. Teraz jestem zrujnowany.

— Wiem o tem, panie Fogg, — odpowiedziała młoda kobieta, — i zapytam się teraz z kolei: Czy przebaczy mi pan, że jechałam z nim razem i opóźniłam powrót pana?

— Pani, — odparł Fogg, — mogłaś przecie pozostawać pani w Indjach, gdzie groziło jej niebezpieczeństwo, gdzie fanatycy mogli znów porwać panią i na stos zaprowadzić.

— A więc, panie Fogg, nie dość, że wyrwałeś mnie śmierci, jeszcze chcesz mi zapewnić egzystencję na obczyźnie?

— Tak, proszę pani, ale okoliczności nie dadzą mi postąpić tak, jak chciałem. Wszystko sprzysięgło się przeciw mnie. Ale tymczasem, to małe, co mi pozostaje proszę przyjąć ode mnie do swej dyspozycji.

— A pan, panie Fogg, co będzie z panem? — spytała pani Anda.

— Ja, proszę pani, już niczego nie potrzebuję, — odpowiedział chłodno zapytany.

— Ależ jakto? czy pan się dobrze zastanowił nad tem, co pan zamierza uczynić?

— Robię, co mi robić wypada, — odpowiedział.

— W każdym razie, — mówiła pani Anda, — taki los nie powinien osiągnąć podobnego, jak pan człowieka... Przyjaciele pana...

— Nie mam wcale przyjaciół...

— Krewni pana...

— Nie mam krewnych.

— Żałuję pana bardzo, panie Fogg, samotność jest smutną rzeczą. Jakto? Ani jednego serca, któreby pomogło panu znieść zawody?

Mówią jednak, że we dwoje łatwiej przenosić niedolę.

— Mówią tak, proszę pani.

— Panie Fogg, — odezwała się pani Anda, wstając z krzesła i podając mu rękę, — czy chce pan mieć odrazu krewną i przyjaciółkę?

Czy zechce mnie pan za żonę?

Na te słowa pan Fogg powstał z krzesła. Niewidziany dotąd blask zjawił się w jego oczach i wargi mu zadrżały.

Pani Anda przyglądała mu się z uwagą. Szczerłość, prostota, stałość i słodczy piękne go wejrzenia szlachetnej kobiety, która gotowa była na wszystko, aby ocalić mu życie, zdziwiły go i przejęły do głębi.

Zamknął oczy na chwilę, jakby bojąc się, że spojrzenie jej przeniknie mu do duszy. Potem otworzył oczy i rzekł:

— Kocham panią! Tak, doprawdy, na wszystko co mam najświętszego na ziemi, przysięgam, że kocham panią i jestem całkowicie pani oddany!

— Ach!.. — krzyknęła pani Anda, przyciskając rękę do serca.

Zadzwoniono na Passepartout. Wbiegł natychmiast. Pan Fogg trzymał jeszcze w ręku swem dłoń pani Andy.

Passepartout zrozumiał wszystko i okrągłe jego oblicze rozjaśniło się, jak od promieni słonecznych w krajach podzwrotnikowych.

Pan Fogg spytał go, czy nie byłoby za późno pójść i powiadomić o mającym się odbyć ślubie pastora Samuela Wilsona w paraf Marry Le Bone.

Passepartout uśmiechnął się jednym ze swych najmielszych uśmiechów.

— Nigdy nie jest zapóźno, — odrzekł.

Było wtedy pięć minut po ósmej.

— Niechaj będzie w poniedziałek, to znaczy jutro.

— Jutro? — spytał pan Fogg, patrząc na młodą kobietę.

— Tak, jutro, to jest w poniedziałek, — odpowiedziała pani Anda.

— Passepartout wybiegł w podskokach.

ROZDZIAŁ XXXV.

Filip Fogg wygrywa zakład co do minuty.

Można sobie wyobrazić, co za wrażenie wywarła w Londynie wiadomość o aresztowaniu prawdziwego złodzieja banku, niejakiego Jana Stranda, 17-go grugnia, w Edymburgu. Na trzy dni przedtem Filip Fogg uważany był za kryminalistę, którego ścigała policja, a teraz było znowu najuczciwszy dżentelmen, który odbywał zamierzoną podróż naokoło świata.

Co za hałas, co za zdziwienie! Imię Fogg stało się znów szanowaniem i głośnem!

Pięciu kolegów Fogg w Klubie przepędzało trzy dni, pozostałe do zakładu, w niepokoju.

Ten Filip Fogg, o którym już zapomnieli odżył znów w ich pamięci.

Gdzież on był teraz?

Siedmnastego grudnia, w dzień, kiedy ów Strand został przyaresztowany upłynęło siedmdziesiąt sześć dni od wyjazdu podróżnika i nie otrzymano ani jednej od niego wiadomości.

Czyżby upadł na duchu? Czyżby się cofnął? A przecie dwudziestego pierwszego grudnia o ósmej czterdzieści pięć wieczorem powinien się być ukazać na progach salonu Klubu „Reform“.

Wysyłano depesze do Ameryki, do Azji, aby się czegoś dowiedzieć, obserwowano codzień willę Fogga... Nic!

Nawet policja nie wiedziała, co się stało z inspektorem policji Fixem, który tak nieszczęśliwie wybrał się w pogoń za niewinnym.

W sobotę wieczorem zebrały się tłumy koło Klubu i na sąsiednich ulicach. Rozmawiano, hałasowano i policjanci mieli dużo roboty z utrzymaniem porządku na ulicach.

W miarę zbliżania się godziny, wyznaczonej na powrót Fogga, wzruszenie dochodziło do zenitu.

Ci, którzy zakładali się o to, czy Fogg wygra czy przyjedzie w porę, drżeli o swoją stawkę.

Ruch na ulicy przed Bankiem był taki, jak na giełdzie, gdy idzie o funty szterlingów.

Tego wieczoru pięciu partnerów i kolegów Fogg zebrało się w sali, oczekując na rezultat wyprawy.

W chwili gdy zegar w dużej sali wskazywał godzinę ósmą minut dwadzieścia pięć, Andrzej Stuart wstał, mówiąc.

— Panowie, za dwadzieścia minut okaże się, kto wygrał zakład!

— O której godzinie przybył ostatni pociąg z Liwerpoolu? — zapytał Tomasz Flanagan.

— O siódmej minut dwadzieścia trzy — odpowiedział Gotje Ralf, — a następny przychodzi dopiero o północy.

— A więc, panowie, — odparł Andrzej Stuart, — jeżeli Fogg mógł przybyć o siódmej minut dwadzieścia trzy i do tej pory nie przyszedł, to możemy być pewni, że zakład jest przez nas wygrany.

— Zaczekajmy jeszcze, nie przesadzajmy sprawy z góry.

Wiecie, panowie, do jakiego stopnia kolega nasz jest oryginalny. Jego punktualność dochodzi do przesady.

Nie przychodzi nigdy ani za wcześnie, ani za późno, zjawi się na pewno w ostatnią minutę.

— A mnie się zdaje, — rzekł Tomasz Flanagan — że projekt Filipa Fogga był szalony.

Bez względu na swą punktualność, nie mógł on nie mieć różnych przeszkód, a przeszkoda dwu lub trzydniowa mogła mu cały plan popsuć.

— Tak! — dodał inny, napewno nasz kolega jest co najdalej w Ameryce! Opóźni się napewno o jakieś dwadzieścia dni!

— To najpewniejsze, — odrzekł Ralf, — i jutro odbierzemy u B-ci Baring pieniądze pana Fogga.

W tej chwili zegar wskazywał godzinę ósmą, minut czterdzieści.

— Jeszcze pięć minut, — powiedział Andrzej Stuart.

Pięciu kolegów spojrzło na siebie milcząco. Zdawało się, że uderzenia ich serc zamilkły.

Wskazówka stanęła na ósmej minut czterdzieści dwie.

Gracze wzięli karty, ale wzrok ich wciąż tkwił na zegarze.

Nigdy minuty nie wydawały im się tak nieskończenie długimi.

— Ósma, minut czterdzieści trzy,—odezwał się Tomasz Flanagan.

Nastąpiła chwila ciszy.

Ale nagle rozległ się hałas wśród tłumu, hałas, który przeszedł w głośnie okrzyki.

Wskazówka zegara posuwała się powoli.

Każdy z grających mógł liczyć bez przeszkody sekundy.

— Ósma, minut czterdzieści cztery! — wygłosił Dżon Suliwan głosem, w którym czuć było wzruszenie.

Jedna tylko minuta i zakład będzie wygrany!

Andrzej Stuart i jego koledzy już nie grali. Porzuciwszy karty, liczyli sekundy.

Czterdziesta druga — nic!

Czterdziesta trzecia, czwarta, piąta, etc. nic!

Gdy wskazówka posunęła się na pięćdziesiąt pięć sekund, posłyszano krzyk jakiś, oklaski...

Gracze wstali.

Na pięćdziesiątą siódmą sekundę otwarły się drzwi gwałtownie i zegarnie wskazał jeszcze sześćdziesiątą sekundę, gdy Filip Fogg ukazał się na progu w towarzystwie tłumu, który gwałtem dotarł do Klubu, — i spokojnym swym głosem rzekł:

— Oto jestem, panowie.

ROZDZIAŁ XXXVI.

Ślub pana Fogg z Andą. Szczęście Passepartout.

Tak! Był to Filip Fogg we własnej osobie!

Przypominamy sobie, że o ósmej minut pięć wieczorem, Passepartout poszedł do pastora, aby go uprzedzić, że ślub odbędzie się nazajutrz.

Passepartout pobiegł zachwycony. Popędził szybko do mieszkania czcigodnego Samuela Wilsona, ale tego nie było w domu.

Czekał więc dobrych dwadzieścia minut. Była punktualnie godzina ósma, trzydzieści pięć minut, kiedy wyszedł stamtąd. Ale w jakim stanie!

Włosy miał rozwichrzone, bez kapelusza...

Biegł, biegł, roztrącał wszystkich, przelatując, jak trąba powietrzna po trotuarze.

W trzy minuty był już w willi pana Fogga.

Wpadł do pokoju bez tchu, nie mogąc słowa wymówić.

— Co się stało? — spytał pan Fogg.

— Mój panie... — bełkotał Passepartout — ślub... niemożliwy.

— Niemożliwy?

— Niemożliwy na jutro.

— Dlaczego?

— Bo jutro niedziela!

— Poniedziałek, — zaproponował Fogg.

— Nie... dziś jest sobota.

— Sobota? Niepodobna!

— Tak! Tak! — krzyczał Passepartout. Omyliłeś się pan o jeden dzień! Przybyliśmy o 48 godzin za wcześnie, ale zostaje już tylko dziesięć minut!

Passepartout złapał swego pana za rękaw i pociągnął go z niezrównaną siłą.

Filip Fogg, uniesiony w ten sposób z pokoju, nie miał czasu na namyślanie się, wyszedł z domu, wskoczył do powozu, obiecał sto funtów furmanowi i po przejechaniu dwóch psów, rozbiciu pięciu powozów, przybył do Klubu.

Zegar wskazywał ósmą, minut czterdzieści pięć, kiedy ukazał się w salonie...

Filip Fogg wygrał więc zakład o dwadzieścia tysięcy funtów.

Filip Fogg objechał świat w przeciągu ośmdziesięciu dni!

I on tak punktualny, spokojny, jak mógł popęlić omyłkę, co do dnia?

Filip Fogg przyjechał wcześniej o jeden dzień dlatego, że skierował się w swojej podróży na wschód, straciłby zaś jeden dzień, gdyby kierował się na zachód.

Jadąc na wschód, Fogg szedł naprzeciw słońca, dnie przedłużały się wciąż o cztery minuty w kierunku, w którym jechał.

W Londynie, przeciwnie godziny nie zmieniały się, były wciąż jednakowe.

Sławny zegarek Passepartout, którego nie chciał on nakręcić według tamtejszych zegarów, o co wciąż tak walczył inspektor policji, pokazywał wciąż godzinę londyńską i dlatego błąd w obliczaniu dni nie był spostrzeżony.

A więc Filip Fogg wygrał zakład, to znaczy dwadzieścia tysięcy funtów.

Ale ponieważ wydał on na drogę około dziewiętnastu tysięcy, wygrana była niewielka.

Wszakże Filipowi Fogg nie chodziło o fortunę tylko o przekonanie wszystkich, że można w osiemdziesiąt dni świat objechać.

Tysiąc funtów pozostałych z podróży rozdzielił Filip Fogg między szlachetnego Passepartout i nieszczęsnego Fixa, który działał wszak bez zlej woli, lecz w przekonaniu, że ściga przestępcę.

Tylko dla dotrzymania słowa, wytracił swemu słuzącemu za gaz, ulatniający się przez osiemdziesiąt dni.

Tegoż wieczora, po powrocie z Klubu, gdzie był tak owacyjnie przyjęty, zawsze spokojny, zawsze jednakowo flegmatyczny pan Fogg obrócił się ku pani Andzie i spytał:

— Czy małżeństwo to jeszcze i teraz pani dogadza?

— Panie Fogg, — odpowiedziała młoda kobieta: mnie to wypada teraz zapytać pana...

Byłeś pan zrujnowany, teraz jesteś bogatym...

— Przepraszam panią, — odpowiedział dżentelmen spokojnie, — fortuna ta należy do pani.

Jeśliby pani nie powzięła myśli o małżeństwie, służący mój nie poszedłby do pastora

Samuela Wilsona, nie byłbym powiadomiony o swej omyłce, i...

— Drogi panie Fogg... — odpowiedziała młoda kobieta.

— Droga Ando... odpowiedział Fogg.

Naturalnie, że małżeństwo zawarto o czterdzieści ośm godzin później i Passepartout, rozpromieniony, szczęśliwy uczestniczył na ślubie, jako świadek młodej kobiety.

Czyż nie ocalił jej życia i czyż nie zasłużył na ten honor?

Ale nazajutrz, prawie o świcie Passepartout zapukał do drzwi swego pana. Drzwi otwarły się i niewzruszony dżentelmen zjawił się na progu.

— Cóż takiego, mój Passepartout? — zapytał.

Przyszedłem powiedzieć, — rzekł chłopak, — że przekonałem się...

— O czym takim?

— Że moglibyśmy objechać świat wokoło w przeciągu siedmdziesięciu ośmiu dni.

— Zapewne, — rzekł pan Fogg, — jeśli byśmy nie przejeżdżali przez Indie...

Ale, gdybyśmy ominęli ten kraj, nie uratowalibyśmy pani Andy, nie zostałaby ona moją żoną i...

I pan Fogg cicho zamknął drzwi od swego pokoju.

Tak więc Filip Fogg wygrał zakład. Przebył drogę naokoło świata w przeciągu ośmdziesięciu dni! Ekscentryczny dżentelmen wykazał w tej podróży dużo zimnej krwi i taktu.

Ale potem? Cóż zyskał za to, co zdobył w tej trudnej drodze?

„Nic“ powie ktoś nieświadomy. Ale tak nie jest. Posiadł piękną kobietę, która go uczyniła najszczęśliwszym z ludzi. Warto więc było i świat objechać!

KONIEC.

